Nr. 3. Lwów, Niedziela dnia 16. Stycznia 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

III.

Jeszcze o nauce języka niemieckiego w szkołach średnich.

II. To, co teraz w tej mierze poruszyć zamierzamy, odnosi się w ogóle do wszystkich nauk w szkołach średnich udzielanych — lecz powyższego używamy tytułu, gdyż przeważnie języka niemieckiego dotyczy i temuż najdotkliwsze zadaje klęski.

W poprzednich uwagach, dotknięto tylko faktu częstego zmieniania nauczycieli; uważamy za konieczne zwrócić na to uwagę i rzecz wyjaśnić szczegółowiej, do czego użyjemy przykładu.

W jednej z najliczniejszych szkół średnich w kraju, w której 40 kilku zatrudnionych jest nauczycieli, w ciągu dwóch lat, przeszło 20 nauczycieli się zmieniło, czyli — że niemal w miesiącu jeden nauczyciel ustępuje, a inny na jego miejsce przybywa. Zdarzyło się więc, że n. p. w klasie a. z początkiem roku szkolnego objął naukę języka niemieckiego p. X. w listopadzie atoli przeniesiony do innego zakładu, ustępuje miejsca panu Y. Ten atoli nie może tego przedmiotu w klasie a. udzielać, gdyż ta jest jedną z wyższych, a p. Y. będąc z zawodu historykiem, zaledwie w niższych klasach nauki języka niemieckiego podjąć się może. Dyrektor zatem przeprowadza zmianę w drugiem półroczu i naukę po panu Y. pan Z. obejmuje. Jest to już z rzędu trzeci nauczyciel języka niemieckiego w klasie a. ale jeszcze nie ostatni, gdyż w lutym pan Z. zostaje do innego zakładu przeniosionym, a jego miejsce obejmuje p. X 2, i uczy do wielkiejnocy – poczem Y 2 obejmuje klasę a. w spuściźnie i już do końca roku w niej pozostaje.

Tym sposobem pięciu z rzędu nauczycieli, w przeciągu roku szkolnego, nauczało języka niemieckiego w klasie a.

Przykład, który podajemy, nie jest wcale wymyślonym, ale wziętym z rzeczywistości. Najpierwszem zadaniem nauczyciela jeżeli chce być sumiennym, jest: poznać dokładnie uczniów, zrozumieć miarę ich zdolności i pilności, i według tego stosować po części naukę samą, a zawsze wymagania swoje. Wtenczas dopiero działalność nauczyciela pedagogiczna i dydaktyczna, może być skuteczną, prawidłową. A czyż to możebną jest rzeczą zapoznać się dokładnie z uczniami i rozwinąć działalność nauczycielską w przeciągu kilku tygodni?

Zmiany takie nauczycieli w ogóle zabójcze są dla nauki, lecz najdotkliwiej dotykają nauki języków. Żadna z nauk nie jest, że tak powiemy, do tego stopnia ruchliwą, i subjekwną, co nauka języka. Gdy historyk, matematyk i t. d. ma punkt oparcia w książce szkolnej, i ta książka jest mu przewodnikiem, jest ramą. w którą naukę ujmuje, nauczyciel języka nie ma takiego oparcia. Historyk, matematyk, obejmując przedmiot w ciągu roku szkolnego, nie wiąże swej nauki z poprzednią, i zaczyna od razu tam, gdzie stanął jego poprzednik. Nauczyciel języka nieznajduje żadnej takiej granicy — i jedynie tylko gramatyka dać mu ją może, ale gramatyka nie stanowi całej nauki języka.

Prowadzenie nauki języka żyjącego zależy od osobistości nauczyciela, od jego że tak powiemy pewnej intuicji, a ta każdemu w innym stopniu i w innym rodzaju jest właściwą, ztąd też uczniowie bałamucą się nadzwyczajnie, gdy co dwa miesiące inny uczy ich profesor.

Zabójcze dla nauki zmiany personalu nauczycielskiego, pochodzą z przepełnienia wielu zakładów, które miewają często po cztery klasy równorzędne, tak zwane: paralelki. Bez względu na to, posady nauczycielskie nie bywają pomnożone i oto w szkole, o której mówiliśmy, jest 40 kilku nauczycieli, a posad jeno 9, czyli: dziewięciu jest rzeczywistych nauczycieli, a resztę stanowią suplenci. Ci zaś albo skutkiem składania egzaminów, albo z powodu tysiąca rozlicznych przyczyn, bywają przenoszeni z miejsca na miejsce.

To przepełnienie zakładów pociąga drugą jeszcze za sobą niedogodność, drugą szkodę dla nauki, a to — że nauczyciele bywają nad miarę pracą obciążeni, i zbyt mało pozostaje im sił i czasu do kształcenia się we właściwych sobie przedmiotach, do należytego przysposabiania materjału nauki.

Nader liczne i długie konferencje, specjalne konferencje nauczycieli uczących w klasach równorzędnych, zwoływane celem utrzymywania jednolitości nauki w tych klasach, zajmują tygodniowo więcej nieraz czasu, niż sama nauka w szkole.

Rząd nie zbyt szczodrze uwzględnia niezbędną potrzebę mnożenia zakładów naukowych, aby istniejące uwolnić od szkodliwego dla nauki przepełnienia. Szkoła realna i gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie, dawno już w oddzielne zakłady rozpołowione być winne, a jednak dotąd po 1000 uczniów licząc, są prawdziwem monstrum zakładu naukowego.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

V.

Jak dotąd udawało się to doskonale. Trudno przypuszczać żeby władze moskiewskie nie domyślały się robionych przygotowań, nie śmiały jednak brać się energicznie do ich tłumienia i wykrycia, bojąc się tym sposobem przyspieszyć wybuch, którego doniosłość nie dawała się naprzód obliczyć. Marszałek Szóstacki trafnie zauważył, że siła zbrojna rządowa w okolicy była za słabą, rząd więc moskiewski nie mógł się ryzykować na to, żeby przez wywołanie nowego wybuchu komplikować sytuację. Władze miejscowe ufały przytem zapewnieniom oficjalnym, że cały ruch powstańczy w Kongresówce niezmiernie prędko stłumionym zostanie, coby naturalnie pociągnęło za sobą

zaniechanie buntowniczych zamiarów w innych częściach kraju, a więc i na Podolu, gdzie się akcja naszej powieści odbywa.

O wszystkich przygotowaniach do wybuchu wiedziała Konstancja i była przygotowaną także na to, że każdy dzień następny może być dla niej dniem rozłączenia z mężem, z którym ją własny wybór i wola ukochanego dziadka tak szybko i tak niespodziewanie połączyła.

Mimo miłości bez granic jaką czuła dla męża, miłości spotęgowanej jeszcze niezwykłemi okolicznościami, w pośród których związek ich zawartym został, a skutkiem których, nagle w jednej chwili, ten którego serce jej wybrało, stał się jej jedyną na tym świecie podporą. — Konstancji ani na chwilę przez myśl nie przeszło że mogłaby podzielić ze Stanisławem trudy i niebezpieczeństwa obozowe. Wiele stanowczości było w jej charakterze, nietyle przecież, żeby kiedykolwiek zamarzyła o wyjściu po za zakres, jaki kobiecie wytknęła wielowiekowa tradycja i obyczaj. Gdyby nie absolutna i niewątpliwa wola dziadka, byłaby z nim wsiadła do kibitki uwożącej go na wygnanie, ażeby mu tam osładzać pieszczotami boleść oddalenia od ojczyzny; umiałaby bohatersko dzielić z ukochanym więzienie i zakopać swą młodość w śniegach Sybiru, lecz na tem się kończyło jej bohaterstwo. Jednem słowem, jedną łzą nie starała się odwieść męża od mięszania się w sprawę narodową i połączone z nią niebezpieczeństwa, ale krwawiło się jej serce na myśl, że ten wir niebezpieczeństw może jej ukochanego porwać na zawsze... Zdolną była postąpić jak Spartanka, ale z tłumionem łkaniem słabej, czuć i kochać tylko umiejącej kobiety...

Tak stały rzeczy w Gradowcach w chwili, gdy wchodzimy do najobszerniejszej izby w fabryce naszego bohatera.

Godzina już wieczorna, właściwa praca fabryczna ukończona już oddawna, skończyła się już także mustra, którą w tej samej izbie przed chwilą odbywali robotnicy.

W mustrze tej razem z innymi brał udział jeden jeszcze człowiek, który ani z zawodu nie był garbarzem, ani też przez naturę stworzonym nie został do garbowania skór moskiewskich.

Był to wnuk Mortka, Józef, znany nam już trochę z poprzednich rozdziałów tej powieści.

Słabszy nieledwie od kobiety, Józef koniecznie chciał być żołnierzem wyzwalającej się Polski.

Nic nie pomogły perswazje Stanisława, że ojczyzna żąda zdrowia i sił od tych tylko, którzy je mają; że go ani pałasz moskiewski, ani kula ale pierwsze przeziębienie zabije. Józef na wszystko odpowiadał:

— Wiem o tem, ale pójdę. Nauczę się przynajmniej tyle, że zawadzać nie będę, a jeżeli zginę, to mała szkoda. Co po mnie na świecie?... Jeżeli zginę, to w tej krwi co za Polskę ma być przelaną będzie trochę większa cząstka krwi izraelskiej. A tej potrzeba. Potrzeba żeby w tej wojnie żyd stał obok chrześcijanina, jak szlachcic staje obok chłopa. Nie przydam się na nic więcej, niechże się przydam na stwierdzenie że tak było.

I najpilniejszym uczniem był w mustrze.

Być może, że w tem poświęceniu Józefa dla idei braterstwa jego współwyznawców z wyznawcami Chrystusa, urodzonymi na tej samej ziemi, była niejaka przymieszka innego, bardziej indywidualnego uczucia.

Konstancja była świętością dla wnuka Mortka. Spaliłby on się ze wstydu i pogardziłby sam sobą, gdyby mu kto powiedział, lub gdyby sam ośmielił się wyznać sobie, że w tem uczuciu czci i miłości, jakie miał dla niej, jest cokolwiek pierwiastku tych uczuć ziemskich, jakich mężczyzna doznaje względem wybranej kobiety, a jednak prawdą to jest podobno, że przyjemniejby mu było umierać, gdyby czuł, że umiera nietylko dla ojczyzny, ale i dla niej, że ciałem swojem zasłania od nieprzyjacielskiego pocisku człowieka, który jest jej opiekunem i jej szczęściem.

Nie mówił tego, ale czuł i wiedział, że ucząc się jak władać zbyt ciężkim na wątłe jego dłonie karabinem, i postanawiając pójść na wojnę razem ze Stanisławem, będzie szukał sposobności poświęcenia się dla niego, gdyż tym tylko sposobem będzie się mógł dla niej poświęcić.

Uczucie, które mu podawało broń w rękę, miało więc w sobie tę drobną cząstkę egoizmu, bez której nic ludzkiego obyć się nie może.

— Jeżeli zginę jego ocalając, ona „mojej“ pamięci wdzięczną będzie za jego życie.

Tych słów nie mówił nawet sobie wnuk Mortka, ale były one koniecznem uzupełnieniem myśli, która go popychała w ślady walecznego Berka z pod Kocka.

Szczęśliwy ilekroć oddawał się przygotowaniom do spełnienia tej swojej misji, Józef poważny zwykle, ożywiał się i rozpogadzał na mustrach odbywanych w garbarni. Przy ćwiczeniach żołnierskich w wątłe jego ciało żołnierska zdawała się wstępować dusza.

Oprócz Józefa, w mustrach w garbarni odbywanych brali udział sami tylko robotnicy Stanisława. Dopuszczenie innych mieszkańców Gradowiec do tych ćwiczeń byłoby się sprzeciwiało koniecznej ostrożności, jaką sobie tak słusznie przepisał mąż Konstancji.

W liczbie tych robotników był tylko jeden co proch wąchał, ba — nawąchał go się nawet tyle, że się mógł nim dobrze zakrztusić.

Był to człowiek młody jeszcze, mający niewiele więcej niż lat trzydzieści. Nazywał się Franciszek Haraś, tęgo zbudowany, silny, z potężnie zarobioną ręką, jeden z owych typowych adeptów „twardego rzemiosła,“ o których fizjognomji bardzo mało da się powiedzieć, których inteligencja nie wychodzi po za granice zdrowego chłopskiego rozumu, ale których serca bywają złote, i którzy gdy się w służbę jakiej sprawy oddadzą, to się oddają całą duszą, nie oglądając się za siebie i nie myśląc nawet o sobie.

Pomimo młodego wieku Franciszek Haraś przesłużył już całą kapitulację w wojsku moskiewskiem i to za owych czasów, kiedy służba obowiązkowa trwała lat 25 dla wszystkich, którzy mieli nieszczęście raz się dostać w mundur sołdacki.

Wzięto go do wojska w Warszawie, gdzie był terminatorem garbarskim. Miał wówczas lat około dwudziestu, był sierotą, nie miał rodziców, ani nikogo na świecie, prócz jednej siostry młodszej o lat kilka. Dziewczyna ta służyła za piastunkę, a brat myślał tylko o tem, że jak zostanie czeladnikiem, gdy będzie miał własny kawałek chleba, zajmie się jej losem i postara się o to, żeby została uczciwą żoną jakiego poczciwego rzemieślnika.

Czeladnikiem miał już zostać za tydzień. Tymczasem pewnej nocy przyszła do garbarni, w której pracował, policja z wojskiem, kazano mu się ubrać i iść, zaprowadzono go do cytadeli, tam zaraz nazajutrz rano, ostrzyżono i przeodziano w szynel sołdacki, tegoż dnia popędzono na punkt zborny na Pragę, zkąd we dwadzieścia cztery godzin kazano mu wraz z innymi wyruszyć w pochód.

Powiedziano mu, że jest rekrutem, że wkrótce zostanie żołnierzem białego cara, i że przez całe 25 lat niczem mu innem być nie będzie wolno, że przez te 25 lat może wcale w rodzinne strony nie powróci.

Siostra chciała go odwidzieć, ale jej nie dopuszczono. Gdyby chciano dopuszczać wszystkich, musianoby pozwolić kilkunastu tysiącom biedaków żegnać się z tymi, którzy ich kochali, i którzy ich pracą swoją karmili. Nie było czasu na takie romanse familijne. Jeden z sołdatów konwojujących oddział nowozaciężnych, kolbą zagrodził drogę biednej dziewczynie, pozostającej nadal bez opiekuna, i tylko spojrzeniami rzucanemi zdaleka mogli powiedzieć sobie do widzenia brat z siostrą.

Nie było czasu na familijne romanse, bo Moskwa na gwałt potrzebowała w owej chwili żołnierzy. Przeciw potędze białego cara bunt podniosły cztery narody: Francuz, wieczny buntowszczyk, Anglik, zawsze fałszywy, Turek-poganin i mizerny Piemontczyk, żaba nadymająca się ażeby wołom dorównać; — nie chcieli ukorzyć się przed północną potęgą, zuchwalstwo swoje posunęli nawet tak daleko, że od południa w obręb carstwa wkroczyli. Nie czytali widać umieszczonej w cerkwi w cytadeli warszawskiej dumnej, despotycznej dewizy: „Bóg z nami, pamiętajcie o tem narody!“ Tych śmiałków car biały potrzebował nauczyć posłuszeństwa, i za bunt skarcić przykładnie, a do tej nauki i do wymierzenia tej kary potrzeba było carowi ramienia Franka Harasia i setek tysięcy jemu podobnych młodych chłopców, którym się zdawało, że przyszli na świat po to, aby wyprawiać skóry na buty dla ludzi i myślić o uczciwej przyszłości swych sióstr.

Z takich Harasiów, przy pomocy uderzeń pięścią w zęby, kaprale i feldfeble robiliby na prędce, w ciągu miesiąca albo dwóch, coś co się nazywało urzędownie żołnierzem, a rzeczywiście było materjałem bezwładnym do zagradzania drogi kulom

armatnim i kartaczom zbuntowanych przeciw carowi narodów.

W półroku później nasz Franek był już jednym z obrońców Sewastopolu, a po upływie drugiego jeszcze półrocza przebywał szturm Małachowa.

Przebył okropne miesiące i okropniejsze dni; wiele tysięcy razy widział śmierć tuż koło siebie i oswoił się z jej widokiem, ale też gdy przeszedł ten czyściec car nagrodził go wspaniale. Każdy miesiąc spędzony w Sewastopolu policzono mu za rok, każdy dzień przebyty w Małachowie został mu porachowany za miesiąc. Z obrachunku wypadło, że gdy dosłuży jeszcze lat parę, będzie zupełnie skwitowany z carem, i że gdy odleży w szpitalu pół roku dla wyleczenia się z rany, w dniu szturmu odniesionej, dostanie urlop nieograniczony.

A z innego obrachunku wypadło, że napis w cerkwi cytadelnej umieszczony był fałszywy, że Bóg nie trzymał z carem, że nie narody ukorzyły się przed władcą północnym, ale autokrata północy ukorzyć się musiał przed zbuntowanym Francuzem, przed fałszywem Anglikiem, przed poganinem Turkiem i przed ową żabą piemoncką...

Wyleczony, gdy już mógł iść o własnych siłach, pieszo, w strony o setki mil odległe, powrócił Franek do Warszawy.

Był pewnym, że zastanie siostrę piastunką jeszcze, zastał ją kawiarką w jakiejś nadwiślańskiej kawiarni, wyróżowaną i uśmiechającą się do każdego, kto miał w kieszeni dwuzłotówkę.

Przyszedł do niej i serce mu się ścisnęło, gdy ją zobaczył. Chciał już splunąć i odejść, ale uczucie braterskie było silniejszem od pogardy.

Został i starał się przekonać dziewczynę, że powinna ten chleb porzucić. Mówił jej, że on teraz może jej swą pracą dopomódz, że nie ma takiego błota, z któregoby się człowiek, jeśli ma trochę Boga w sercu, nie mógł wydobyć.

Dziewczyna się roześmiała i powiedziała mu, że jej tak dobrze, i że jej będzie jeszcze lepiej, bo pewien porucznik, Moskal, który ją namówił żeby porzuciła służbę, a potem w kawiarni umieścił, odwidza ją często i zawsze jej przyrzeka, że ją ztamtąd odbierze i że się z nią ożeni, jak tylko zostanie kapitanem lub majorem.

Na dalsze perswazje brata dziewczyna wciąż była głuchą... Łagodne jego słowa nudziły ją i niecierpliwiły widocznie. Pragnąc im kres położyć może, albo może z nałogu swojego rzemiosła, zaczęła się do niego uśmiechać, zalecać mu się, kokietować tak jak kokietowała wszystkich...

Franek oburzył się i podniósł pięść.

Gdyby ta pięść żelazna spadła na głowę jego siostry, byłoby mniej na świecie o jednę straconą istotę; ale ostatni szczątek instynktu miłości braterskiej zmienił jej kierunek, padła na stół, którego brzeg się odłamał i spadł na podłogę kawiarni.

Dziewczyna przerażona odskoczyła, ale po chwili ochłonęła i wyszczerzając białe zęby, rzekła:

— Jakiś ty głupi! Niby to brat nie taki mężczyzna jak każdy inny.

Franek się zerwał jeszcze w gniewie, ale po chwili łzą jego oko nabiegło. Żołnierz wysłużony zawstydził się tej łzy przed dziewczyną. Odepchnął ją od siebie, gdy się doń znowu przybliżyła, i powiedział tylko:

— Tego cię twój Moskal nauczył!,.. dobrze... a więc nie mam już siostry — Moskiewico!...

I poszedł. Nie widział jej już więcej. Unikał ulic na których obawiał się ją spotkać, i rad był ptakiem wylecić z Warszawy, żeby tego spotkania uniknąć, ażeby o tej jednej, którą kochać był powinien, a która tej miłości nie była godną, łatwiej zapomnieć. Gdy więc Stanisław przybył do Warszawy i zaproponował mu, że go jako zdolnego czeladnika garbarskiego z sobą do Gradowiec zabierze, z radością przyjął tę propozycję.

Opowiedzieliśmy w krótkości tę historję człowieka pospolitego, człowieka jakich jest tysiące, dlatego, że ten człowiek ma pewną rolę w naszej powieści odegrać, a dzieje jego przeszłości najlepiej poznac go dają.

Nie miał go kto kształcić w nienawiści do Moskali, wykształcili go w niej sami Moskale. Porwali go od siostry, którą kochał, kazali mu tysiąc razy narażać się na śmierć za sprawę, której nie rozumiał, o której nie miał najdalszego nawet pojęcia, a gdy posłuszeństwo ich rozkazowi przepłacił raną i półroczną chorobą, gdy jak nędzarz do rodzinnego miasta wrócił, dowiedział się tam, że podczas jego nieobecności ci sami Moskali tę jego siostrę wtrącili w błoto najgłębsze i tak moralnie zepsuli, że nawet hańby swego poniżenia nie czuła.

Ztąd poszło, że wszystko co moskiewskie stało się dla Franka instynktownie nienawistnem.

Gdy w Gradowcach przygotowywać się zaczęto do wybuchu, Franek Haraś przystąpił do tych przygotowań świadomy już sprawy, o którą chodziło. O ojczyźnie i przywiązaniu do niej nie wiedział jeszcze wiele, to co o tem mówił Stanisław, było dla niego mglistem jakiemś i nieokreślonem jakimś pojęciem, Ale wiedział, że ci, co się gotują do walki, walczyć mają o to, żeby Moskali nie było, a ta wiadomość wystarczyła dla niego, ażeby całą duszą przyłączyć się do ruchu.

Inną jeszcze zdobycz wyniósł Franek z żołnierskiej szkoły, którą odbył u Moskali. Mustry i obrotów wojskowych nauczył się wprawdzie tylko tyle, że mógł zrozumieć i wykonać komendę, ale się nauczył pogardzania niebezpieczeństwem. O ile rozumem swoim mógł przewidzieć przyszłe koleje rozpocząć się mającej walki, nie przypuszczał w niej nic strasznego, jak to co przebył. Bić się w otwartem polu zawsze to fraszka w porównaniu z obroną zdobywanej szturmem i zdobytej wreszcie fortecy. On więc dodawał ducha towarzyszom, on ich przekonywał, że niebezpieczeństwa, które przebyć mają, są niczem w porównaniu do tego, na co człowiek narażonym być może i co może wytrzymać. Słowom jego wierzono chętnie, bo je popierał przykładami czerpanemi z własnego życia.

To też po mustrze w garbarni najczęściej Frankowi głos się dostawał, a przedmiotem jego gawędki były prawie zawsze epizody z owych dni, które starczyły za miesiące, i z owych miesięcy, które wystarczały za lata.

Opowiadania te nie były bezskuteczne. Towarzysze Franka, chwilowi podkomendni Stanisława, sam Stanisław nawet, uczyli się z nich lekceważyć niebezpieczeństwa, których nie dotknęli się jeszcze, i które im w oczy nie zajrzały.

I w tej chwili Franek Haraś rozprawia. Przysłuchajmy się jego słowom.

— Ja wam powiadam, bracia, że wojna to ślepa bestja. Kąsa każdego kto jej się nawinie, a nie patrzy, bo oczu nie ma, czy on szedł prosto przeciw niej, czy przed nią zmykał. Więc wszystko jedno czy iść naprzód czy zmykać, a kiedy wszystko jedno, to pocóż zmykać?

Obejrzał się do koła po obecnych, jak gdyby czekał czy mu kto nie zaprzeczy, pytanie jednak pozostało bez repliki, jak się spodziewać należało, bo duch przyspasabiającej się do boju gromadki już był podobno nastrojony tak, że mu nie potrzeba było większej zachęty.

— A cóż trzeba robić, żeby się na wojnie odznaczyć? — zapytał Józef.

Gdyby się nie wstydził, byłby to pytanie rozszerzył, byłby się spytał wyraźnie, czy do odznaczenia się trzeba silnej budowy, muskularnej potęgi, czy słabemu jak on dziecku, choćby miało prawdziwie bohaterską duszę, wolno marzyć, iż kula, która jego czaszkę rozsadzi, może zarazem tę czaszkę uczynić godną laurowego wieńca. O to nic nie pytał, nieśmiało nawet wypowiedział i owo proste zapytanie, które zdradzało, że o odznaczeniu się myślał.

— Odznaczyć się, — odparł Franek — odznaczyć się, w gruncie niewielka sztuka. Odznaczy się każdy kto sobie powie: raz kozie śmierć, mniejsza o to, zginę albo nie zginę, a kpem nie będę!

Józef odetchnął. Odpowiedź ta wystarczała mu. Te słowa, po żołniersku wyrąbane przez Franka, on sobie juz dawno w duszy powiedział. Słysząc je powtórzone przez przyszłego towarzysza broni, starszego przebytą szkołą i doświadczeniem, zaczynał wierzyć, że w nim jest nietylko poczciwa chęć zostania żołnierzem, lecz i duch prawdziwie żołnierski.

— Odznaczyć się więc może każdy kto nie kiep! — prawił Franek dalej — ale żeby wiedziano, że się ktoś odznaczył, na to potrzebna w wojsku sprawiedliwość. U Moskali jej nie ma. Tam odznaczy się żołnierz, prosty sołdat, ale zasługę zapiszą na rachunek jakiego junkra, bo junkier szlachcic, potrzebuje odznaki do szybszego awansu i ma czem się opłacić tym, co raporta piszą, a żołnierz bydlę, *słuszaj, stupaj* i po wszystkiem. Jakby śmiał mruknąć i upomnieć się o to co jemu się należy, doczekałby się pałek. U nas tak nie będzie, wszak prawda panie?

Słowa te były zwrócone do Stanisława.

— Gdyby u Moskali była sprawiedliwość — odpowiedział mąż Konstancji — to myśląc o wypędzeniu ich z pośród nas

grzeszylibyśmy przeciw Bogu, ale gdyby oni byli sprawiedliwymi, czyżby się pomiędzy nas wkradli? czyżby nad nami przewodzić i nas w niewolników zamieniać chcieli? Mybyśmy byli sobie, a oni sobie. Według praw boskich i ludzkich pierwszą zasadą sprawiedliwości jest nie pożądać i nie zabierać cudzego dobra. Czy my ich czy oni naszego dobra chcą? osądźcie sami.

Odpowiedź ta była prosta, ale wymowna. Takiemi przemowami Stanisław pozyskiwał serca swoich robotników dla sprawy narodowej i nieograniczenie je pozyskał: do prostych bowiem serc prosto i szczerze mówić trzeba, a sprawa nasza nie należy do takich, dla których adwokackich obron potrzeba.

— Pytasz się Franciszku — mówił Stanisław dalej — czy u nas będzie sprawiedliwość? Na to ci odpowiedzieć muszę, że nie wiem. Ludzie są ludźmi i my świętymi nie jesteśmy, ale to tylko powiedzieć ci mogę, że jeżeli u nas sprawiedliwości nie będzie, to i zwycięstwa nie będzie!

Robotnikom wystarczyło to zapewnienie. Ciekawi byli zresztą czego innego — wiadomości o ruchu powstania w Kongresówce, oznaczenia chwili kiedy u nich wybuch nastąpi. Większość pomiędzy nimi oczekiwała tej chwili gorączkowo; Stanisław jednak pod tym względem nie mógł dać stanowczych zapewnień.

— Kiedy się poruszymy, nie od nas to zależy — rzekł — w każdym razie powinniśmy być przygotowani tak, jakby wybuch miał nastąpić jutro, albo nawet jeszcze dziś w nocy.

— Mnie się zdaje, panie naczelniku — odpowiedział Franek, salutując Stanisława po wojskowemu — że już tak przygotowani jesteśmy!

— A więc w Bogu nadzieja, a nam pozostaje gotowość i cierpliwość!

Na tych słowach zakończyła się pogadanka w garbarni. (C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy).

XI.

Kobiety.

W przekonaniu Giulietty całus był wszystkiem: dowodem prawdziwej miłości — formalnem oświadczeniem — zaręczynami — omało że nie ślubem. Od tego też dnia skonfiskowała mnie najzupełniej — odtąd byłem jej własnością. Gdy te słowa będziesz obojętnem okiem przebiegał, pomyśl chwilę o losie twego przyjaciela, a w duszy twojej pewnie się dlań współczucie obudzi. Za żart, za niewinny żart, miałem tak ciężko pokutować!

Bez niej nie było mi wolno zaglądnąć do teatru, bez niej nie mogłem wstąpić do kościoła, a z kółkami młodych ludzi i kasynem musiałem wziąć rozbrat stanowczy, bo przecież tam ona ze mną pójść nie mogła. Śledziła każdy mój krok, podchwytywała każde słowo, ze spojrzeń nawet starała się dowiedzieć, czy w myślach moich nie żyje wspomnienie, lub nie tkwi teraz obraz innej kobiety... Brrr! aż mi się zimno robi, gdy te słowa piszę — a cóż dopiero musiało mi się dziać, gdym taką miłością był oskrzydlony.

Nic łatwiejszego jak zrobić jeden krok fałszywy, ale nic trudniejszego jak po pierwszym wstrzymać się od drugiego. Doświadczenie przekonało mnie także, że w awanturach sercowych, mężczyźni, którzy we wszystkich innych sprawach z drogi honoru nigdy nie schodzą, są najskłonniejsi do błędów coraz większych. Inny pocałowawszy Giuliettę, a poznawszy dostatecznie jej charakter podejrzliwy i tylko w zazdrości szukający dla siebie pokarmu, byłby jak to mówią zwinął chorągiewkę i nie pokazał się więcej — czem z pewnością byłby uratował i ją i siebie. Wprawdzie ona byłaby go nazwała wietrznikiem, może nawet człowiekiem niehonorowym — ale za to przyszłość byłaby go najzupełniej usprawiedliwiła. Ja natomiast tak argumentowałem:

— Powiedziawszy jej raz, że ją kochasz, musisz wytrwać w roli, którą dobrowolnie na siebie przyjąłeś, bo tego honor od ciebie żąda. Popełniłeś głupstwo, ale bądź mężczyzną, i przyjm wszystkie jego konsekwencje.

Oto dokąd prowadzi fałszywe pojmowanie honoru. Niehonorowy byłby ocalił sytuację — honorowy wycierpiał tortury, ją zranił jeszcze boleśniej, a przegrawszy partję, nie postąpił lepiej jak tamten...

Ale widzę, że mi się zbiera na kazanie, które ciebie znudzi — wracam więc do rzeczy.

Po kilku tygodniach byłem doprowadzony do rozpaczy. Nie mogąc zrozumieć miłości tak dzikiej i samolubnej, prosiłem ją raz bardzo czule, aby mię kochała szczerze, lecz nieco spokojniej.

— Co ty mówisz, Carlo! — zawołała; — moja miłość nie zaspokaja twoich pragnień, ty ją nazywasz niespokojną? Carlo! coś ty powiedział? Kobiety twojej ziemi kochają może inaczej, zimno, sentymentalnie, ale ja kocham jak umiem. Miłość w mojej piersi to nie kaganek, który lada wietrzyk zgasi — to wulkan wiecznym ogniem ziejący!

— Ale wulkan i sam się przepali i drugich lawą zaleje...

— Niech się przepali, niech zaleje! Kochając ciebie, żyję tylko dla ciebie — nie dbam więc o nic i ani myślę co się ze mną stanie! Carlo, czy ty mnie kochasz inaczej?

— Nie... ja tego nie powiedziałem... jednakże chciałem cię prosić, byś mnie nie podejrzewała i nie była tak zazdrosną...

— Ależ ja ciebie nie podejrzewam, ani jestem zazdrosną, ja się tylko boję bym mojej własności nie utraciła. Jam skąpa, mój Carlo, bardzo skąpa, ja nie chcę by się kto mojem skarbem dzielił. Wy, mężczyźni, nie żyjecie dla miłości tak wyłącznie, jak my, kobiety... wy to wielkie uczucie uważacie czasem za przemijającą słabostkę serca, z której nowe wrażenia łatwo was leczą. O! Carlo! ja drżę na tę myśl... Gdyby mnie coś podobnego spotkało, zginęłabym! ale wpierw...

Urwała — usta jej pobladły — w piersi oddechu brakło — oko rzucało pioruny... postrzegłszy jednak żem się niespokojnie w nią wpatrywał, przysunęła się do mnie, czoło rozjaśniła, i ku piersi mojej nakłoniła główkę jak przymilająca się pantera.

— Nie bój się, Carlo! — mówiła czule — ja ciebie bardzo, bardzo kocham! Ja się nawet zmienię, ja się zazdrości wyrzeknę .. gdy... gdy już będziesz moim na wieki...

Otóż masz! W komedji którą grałem, pojawił się czynnik nowy, choć dawno przewidziany, czynnik czasem poetyczny, a czasem bardzo prozaiczny — małżeństwo. Gdy sobie to przypomnę, porywa mnie śmiech spazmatyczny. Bo i wyobraź sobie mnie, w dwudziestym drugim roku życia, w poważnym szlafroku, w kolorowej czapeczce, z fajką na długim cybuchu, czytającego gazetę po objedzie, lub kołyszącego dzieciaka, który wrzeszczy w niebogłosy! Wyobraź sobie mnie w towarzystwie kobiety nie rozumiejącej mego języka, niepojmującej moich przekonań, ani widzącej dróg, któremi powinienem iść w tem życiu — kobiety, która umie kochać dziko, ale nie umie poświęcić się spokojnie... Nie, mój drogi, ja takiego szaleństwa nie mogłem popełnić, ja mogę być mężem tylko Polki.

Rozmowa, którą przytoczyłem, była już końcowym djalogiem aktu przedostatniego. Wychodząc tego dnia od Giulietty powiedziałem sobie, że trzeba uczynić krok stanowczy, aby wybrnąć z położenia fałszywego. Nazajutrz wcale do niej nie poszedłem — zdarzyło się to od miesiąca dopiero pierwszy raz — a trzeciego dnia wyszedłszy rano z domu, spotkałem na ulicy całą rodzinę państwa S. która jadąc do Rzymu zatrzymała się kilka dni w Bolonji. Poczciwy mój duch opiekuńczy nie mógł mi oddać lepszej usługi. Państwo S. sąsiadują z memi rodzicami na Litwie, i mają dwie milutkie córeczki, z któremi prawie się wychowałem.

Ujrzawszy mnie ucieszyli się mną jak synem, a ja korzystając ze sposobności zaciągnąłem się za bezpłatnego cicerona.

Chodziliśmy po kościołach, galerjach, muzeach, odwidziliśmy *Certosę* i górę San Luca — jadaliśmy razem objady, a wieczorem słuchaliśmy opery we wspólnej loży. Pannom szarmantowałem z prawdziwą przyjemnością, bo dźwięk mowy ojczystej, tak dawno z pięknych usteczek nie słyszany, robił na mnie wrażenie dziwnie przyciągające, magnetyczne.

Trzy dni trwały te wędrówki — a w tym czasie do Giulietty nie zaglądnąłem, nawet jej nigdzie nie spotkałem.

Wczoraj, o godzinie 1szej po północy państwo S. wyjechali do Rzymu. Odprowadziwszy ich na kolej, zostałem aż do odejścia pociągu. Gdym wrócił do domu, powiedział mi mój Beppo, że między dziewiątą a dziesiątą wieczorem, jakaś dama zawelonowana zadzwoniła u drzwi, a gdy on wyszedł, pytała czy może ze mną się widzieć. Beppo nie poznał jej, bo jej nie znał — ale ja domyśliłem się natychmiast, czyja twarz ukrywała się pod woalką.

— Szalona! — pomyślałem — najniewinniej gotowa się skompromitować!.. Trzeba jutro pójść i jakoś to skończyć.

Dziś z rana poszedłem do Giulietty. Drzwi od przedpokoju otworzyła mi służąca. W chwili gdym prawą ręką otwierał drzwi od salonu, lewą zapinałem tużurek, który rozpiął się na piersiach. Zaledwie krok naprzód postąpiłem, błysło mi coś przed okiem, w lewej ręce uczułem ból, i w tym samym momencie coś padło z głuchym łomotem i okrzykiem: — Ach!

Cała ta scena trwała jedno mgnienie oka.

Przedemną leżała Giulietta w omdleniu — z dłoni wypadł jej mały sztylet korsykański, którego ostrze, przedarłszy mi błonę między palcem wskazującym a środkowym u lewej ręki, zatrzy-

mało się na kościanym guziku tużurka. Gdyby nie ten guzik, i gdyby pchnięcie było prowadzone ręką inną, a nie drżącą kobiety — byłbym może padł pod żelazem zabójczem.

Nie czując bolu, ani widząc krwi, która z rany płynęła — zacząłem cucić omdlałą. Tymczasem przybiegła służąca z wodą i octem. Położyliśmy Giuliettę na otomance, i po trzech minutach przywołaliśmy ją do przytomności. Pierwsze słowo, które się jej przez usta wyrwało, było:

— Carlo!

— Jam tu, Giulietto! Jam tu!...

— Co?... Co ja słyszę! — zawołała jak ze snu oczy przecierając — tyś tu, tyś nie zginął Carlo! O, mój Boże, com ja uczyniła, ja chciałam ciebie zabić, Carlo! Ale tyś dobry, ty mi przebaczysz!... Carlo! Carlo! przebacz mi!...

I z temi słowy zsunęła się z otomanki do moich nóg.

— Pani! — przemówiłem poważnie przez wzgląd na służącę, i zwolna ją podnosząc — co pani mówisz? Jam się zranił przypadkowo... pani jesteś w malignie...

— Nie, Carlo! — krzyknęła z ziemi się zrywając i dziko wpatrując mi się w oczy — ja nie majaczę, ja mówię przytomnie! Chciałam cię zabić... tak, chciałam, boś na śmierć zasłużył!... Tyś mnie oszukiwał, Carlo! Mówiłeś! że nie kochasz innej, a cztery dni, długie cztery dni nie pokazałeś się u mnie!... Widziałam cię z temi blondynkami... z tą starszą musisz być zaręczony... do loży przyniosłeś jej bukiet i cukry... Jak ona się do ciebie uśmiechała... Carlo! czemu cię nie zabiłam! Czemu razem z tobą nie zginęłam!...

W tej chwili jej oko padło na moją rękę, z której krew ciekła.

— Mój Boże! tyś raniony!... Co ja uczyniłam, mój Boże! Carlo, przebacz mi, jam niegodziwa!

Dziwna mięszanina kobiety i tygrysicy!

Cóż ci więcej powiem? Chyba że scena, którą opisałem, przydarzyła się dziś rano, że Giulettę uspokoiłem jak mogłem, a wyszedłszy od niej dziękowałem Bogu że na tem się skończyło...

Do takiej miłości, mój drogi, jam nie stworzony. Ja rozumiem miłość, opartą na szacunku i zaufaniu, a nie na podejrzewaniu i zazdrości. Pierwsza trwa życie całe — druga wyczerpuje się jak wszystko co gwałtowne. Pierwsza jest słońcem ogrzewającem naturę — druga groźną błyskawicą ginącą wśród chmur namiętności. Pierwsza jest miłością duszy — druga miłością tylko krwi.

Wróciwszy do domu powiedziałem sobie, że najwyższy czas pożegnać te strony. To też we dwóch godzinach załatwiłem wszystkie interesa, a spakowawszy moje rzeczy, zasiadłem do pisania tego listu, abyś przed zobaczeniem się ze mną wiedział, co mnie tak nagle z Bolonji wypędziło.

Dziś o północy wyjeżdżam pospiesznym pociągiem do Florencji, gdzie kilka dni zabawię. Ztamtąd udam się do Rzymu, gdzie cię zapewne zastanę.

A tymczasem całuję cię

Twój

Karol.“

Oto koniec listu Karola.

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił
Wincenty hr. Łoś.

(*Ciąg dalszy.*)

We dwa tygodnie po odbytych żałobnych obrzędach, pojechała matka moja ze mną i z Rykaczewskim do Częstochowy. Staliśmy w klasztorze, a poświęciwszy tydzień dla nabożeństwa, pojechaliśmy do Zarek, mieszkania mego wuja, kasztelana Męcińskiego. Dom ten zamożny był na wielkiej stopie utrzymywany; dwór liczny, muzyka, goście zawsze pełno, ale mimo to wuj z trudnością zdecydował matkę moją, aby kilka miesięcy u niego spędziła. W końcu przyjęła braterskie zaprosiny, ale wymówiła sobie, że nie będzie przytomną, gdy kto z obcych przyjedzie; jakoż miała osobną oficynę, w której najwięcej przesiadywała. Tam wiele czasu napróżno straciłem; w lekcjach była nieregularność, bo i Rykaczewski lubił się bawić. Było ośm panien kasztelanek, trzech chłopców mego wieku, co święto tańce, a w inne znowu dni spacery odrywały od zatrudnienia. Widziano, że mając lat 14, czas próżno w domu tracę; to też wuj zdecydował matkę moją, aby mnie do Krakowa do szkół odesłała, a mając sam ciągle stosunki z tem miastem, bo dobra jego ciągnęły się bez przerwy pod sam Kraków o 10 mil, wszystkie trudności załatwił, dom na ulicy św. Anny u aptekarza Liku wynajął, a jedzenie i opał ugodził. Tak więc z Rykaczewskim prosto z Zarek pojechałem do Krakowa. Przybywszy, zastałem umieszczonych w tym samym domu dwóch Kochanowskich, synów chorążego Sandomierskiego, urodzonych z Roztworowskiej; starszy, któremu było na imię Antoni (później sejm konstytucyjny wysłał go jako ambasadora do Sztokholmu) chodził do 5tej klasy ze mną. Młodszy Ignacy był w 3ej klasie; mieliśmy 4 pokoje i jadaliśmy razem. Oni jednego służącego i ja jednego miałem, a nadzór miał nad nami trzema Rykaczewski.

Sposób był następujący: wstawaliśmy o 6ej i gotowaliśmy się zaraz na lekcję. Gospodarz każdemu przysyłał szklankę mleka i bółkę, a w pół do ósmej szliśmy do klas i razem wszyscy z profesorem, parami, udawaliśmy się do kościoła św. Anny.

Po mszy skończonej, profesor w klasie z uczniami odmówił modlitwę, wezwanie Ducha św. Szkoła trwała do 10ej; każdy wracał do domu, gdzie zastawał bółkę z masłem przygotowaną, poczem gotowaliśmy się zaraz na lekcję popołudniową; objad był o 12ej, złożony z zupy i 3 potraw. Głód i młody żołądek dodawały smaku; o 2ej znowu do klas, a o 4ej w domu; na podwieczorek mieliśmy pół krajanki sera i bółkę; o 8ej kolacja, kasza z masłem i zrazik pieczeni cielęcej dla każdego.

Profesorowie poznali słabe moje przygotowania do nauk; ale widząc chęć i aplikację, oraz charakter mój łagodny, tak mnie wszyscy polubili, iż profesor wychodząc z klasy, brał mię z sobą do swej stancji, tam mi tłumaczył i razem ze mną pracował. Szczególniej zaś jeden z profesorów wymowy i literatury, Marcin Fijałkowski, tak się do mnie przywiązał, że wszystkie lekcje kazał u siebie wyrabiać. Gdy raz w klasie dał materję do napisania, że handel będąc prostą zamianą jednego przedmiotu za drugi, nie wzbogaca kraju, lecz tylko potrzebom dogadza, nie wiedząc jak zacząć i co napisać, prosiłem Rykaczewskiego, aby mi dopomógł. Pismo więc jego zaniosłem do Fijałkowskiego, lecz ten przeczytawszy i myśląc, że to ja sam napisał. „Kochany panie Małachowski — rzekł do mnie — to bardzo ubogie, tego w klasie czytać nie można, bo tam każdy lepiej napisze,“ — a gdym mu powiedział, że to mój guwerner ułożył, — „Teraz nie dziwuję się — dodał — że twoja edukacja tak zaniedbana, ale przy twojej pilności wszystko nagrodzimy. Siadaj przy moim stoliku i rozbierzmy tę materję.“ Następnie zaczął mi robić z niej pytania, a co odpowiedziałem, kazał pisać. „Teraz ułóż to porządnie, a ja styl tylko poprawię i będzie przez ciebie napisana mowa.“ Takim to sposobem najwięcej korzystałem w naukach i w końcu roku dogoniłem i zrównałem się z drugimi.

W dni rekreacji mieliśmy ćwiczenia żołnierskie. Było nas najmniej w całem kolegium 500 uczniów; każdy sprawił sobie kitel biały z płótna, a karabin z odwachu był pożyczany. Zarzycki, podoficer w regimencie Wodzickiego, pod nazwiskiem królowej Jadwigi, uczył nas mustry. Chodziliśmy na równiny Łobzowa i założyliśmy odwach, a gdy który profesor przechodził, jeden z nas trzymający wartę prezentował broń. Ale największa radość nasza była, ilekroć ksiądz Marciszewski, prefekt szkół nadchodził. Wtedy szyldwach wołał: do broni! występowała cała parada, prezentowaliśmy broń, a że mieliśmy bęben, więc jeden z małych bił *werbel*. Na tych ćwiczeniach bogatsi kupowali śmietanę kwaśną i chleb; najczęściej ja te podwieczorki sprawiałem, chociaż miesięcznie aż do ukończenia szkół nie brałem więcej, jak 54 złote. Ale mierność prowadzi do porządku, obfitość rodzi zbytek i smutne z tego następstwa.

Dwa miesiące w roku, to jest lipiec i sierpień były przeznaczone na wakacje. Gdy już czas nadchodził, że matka moja miała przysłać po mnie pojazd, profesor Fijałkowski rzekł do mnie: — „Chodźmy do księgarni Grabowskiego, trzeba, żebyś kupił książki, które w VI klasie będą potrzebne; w domu odczytując je, łatwiej potem przyjdzie ci się nauczyć co profesor wykłada.“ Podziękowawszy i pożegnawszy się ze wszystkimi profesorami, nazajutrz o wschodzie słońca byłem już gotów, a na drugi dzień stanęliśmy w Włoszczowie. Ci tylko, co w szkołach publicznych nauki pobierają, ci najlepiej wiedzą, jaką radością są przejęci, gdy wracają do domu rodzinnego.

Matka, jak każda matka, chcąc przyjemność zrobić swemu dziecku, podarowała mi laskę z wędką, a i konik mój był z Końskich przyprowadzony; lecz pierwszy dzień nie odstępowałem matki, aby przez czułość moją, wywdzięczyć jej dobroć; pobiegłem obaczyć mój pokoik dziecinny, gabinet, w którym mnie interesowały obrazy biblijne, witałem się ze wszystkimi służącymi, a stary hajduk, Maciej, nie mógł się wstrzymać i uściskał mnie mówiąc: „Jak pan Stanisław pięknie wyrósł!“ — Minęły i te dwa miesiące, i ja znowu do Krakowa pojechałem. Szkoły się zaczęły, pilnością i pracą zrównałem się w naukach z tymi, którym szybkość objęcia i żywość dowcipu dawały nademną pierwszeństwo. Nadszedł dzień publicznego popisu, sala była napełniona publicznością, a ja nie spodziewając się

odebrałem drugie premjum, medal *) srebrny z koroną i napisem: *Diligentibus*. Gdy mnie zawołano do odebrania nagrody, z nieśmiałością przystąpiłem, a gdy mi siedzące towarzystwo winszowało, najprzyjemniej było widzieć w kolegach mej klasy, że nie tylko nie byli zazdrośni, lecz cieszyli się i szczerze mi winszowali. Prócz tego otrzymałem świadectwo pochwalne maturitatis, ukończenia kursu szkół z podpisami wszystkich profesorów. Za powrotem moim do domu, matka uradowana uściskała mnie mówiąc, że mi odtąd płacić będzie co kwartał 2.000, i że za dwa miesiące pojadę do Warszawy, do mego stryja marszałka **), który już losem moim obiecał się zatrudnić. Dwa miesiące w domu matki bawiłem, a z początkiem września odprowadził mnie stary kamerdyner moich rodziców do Warszawy. Rykaczewski otrzymał probostwo w nagrodę.

Gdym się przedstawił memu stryjowi, ten mnie przyjął grzecznie, ale zimno, oświadczając, że mam dwa pokoje w oficynie przeznaczone, że na drugiej stronie w dwóch pokojach mieści się Ignacy Stecki, podobnie wnuk a mój kuzyn, że wszystko dla mojej wygody jest rozkazane, że o 1ej na objad przychodzić trzeba, i że powinienem mieć osobny ekwipaż.

Powiedziałem, że matka dała mi na ten cel 6.000. — „To więcej, niż potrzeba — rzekł stryj — ale że się waćpan na tem nie znasz, więc rozkażę memu koniuszemu, Dytrychowi, aby się tem zajął.“ Nie minął tydzień, a miałem już karetę bardzo piękną i parę koni karogniadych z szorami białemi. Dwór mój składał się ze służącego Sebastiana Łyczkowskiego, przebranego za strzelca, bo taka pod ów czas była moda, i wąsala stangreta w liberji z burtami.

Właśnie pod ów czas zaczął się Sejm konstytucyjny, który, że był nadzwyczajnie zwołany i z całej Polski, nazwany był sejmem konfederacyjnym. Gdy pierwszy raz wszedłem do miejsca obrad, przechodziłem przez długi korytarz, w którym stała kampanja gwardji miejskiej; u drzwi obrad stało dwóch odźwiernych, paradnie w ferezjach polskich galonami ubranych, którzy w rękach trzymali halabardy. Gdy już wszedłem do tej świątyni narodowej, widok wspaniałego zgromadzenia tak mnie odurzył, że mimowolnie zatrzymałem się, zdaleka patrząc na tron o 7 stopniach, bogato przybrany, na którym siedział król otoczony ministrami, wojskowymi i dworem lśniącym od złota i haftów. Dalej na dół od tronu senat w krzesłach; na początku po prawej ręce prymas w pąsowym u biorze, ze srebrną wysoką laską, na wierzchu której krzyż, a przy nim krucyfiks; tuż przy nim biskupi, dalej wojewodowie, kasztelanowie, i ławki czterostopniowe za krzesłami, na których województwami podług porządku siedzieli posłowie. Na przeciw króla dwóch marszałków z laskami hebanowemi siedzieli; od prowincji koronnej był mój stryj, od prowincji litewskiej książę Kaźmierz Sapieha; przy każdym stał sekretarz; koronnym był Siewczyński, litewskim Ancuta. Galerje były napełnione arbitrami i szybko piszącymi; na przeciw tronu była wielka loża dla posłów zagranicznych, a dwie loże nad galerjami po obydwóch stronach dla dam, żadna jednak wejść tam nie mogła bez biletu. Ja stałem za krzesłem mego stryja, a gdy pierwszy raz odezwał się książę marszałek Sapieha, i powstał z krzesła swego w podle stryja mego stojącego mówiąc: „Najjaśniejszy królu, panie mój miłościwy, prześwietne Rzeczypospolitej skonfederowane stany“, wymowa kwiecista, dźwięk głosu przyjemny i donośny, tak silne na moim umyśle wrażenie zrobiły, że rozumiałem, że to, co czytałem z historji rzymskiej, widzę na jawie; że to są ci sami ojcowie ojczyzny, co radzą o dobru Rzeczypospolitej. Przytem wieluż to innych było sławnych mowców! Stanisław Potocki, Niemcewicz, Matusiewicz, Wejsenhoff. Wyliczać więcej, byłoby próżnem powtarzaniem imion, które i w zagranicznych opisach sejmu tego sławnego, odznaczone były. Gdy ze stryjem wracałem do domu, ten zawsze mnie wypytywał o to, co który poseł mówił i dziwił się pamięci mojej, żem ledwie nie dosłownie każdego mowę powtarzał. To regularne bywanie na sesjach i słuchanie żywych rozpraw, stało się drugą dla mnie szkołą, i rozjaśniło przytłumiony mój umysł. Stryj mój później, poznawszy zdolności moje, ponieważ zawsze ranne i wieczorne otwierał posiedzenie, dawał mi materję, o której chciał mówić, a ja krótkie zagajenie mu pisałem. (C. d. n.)

* Medalu z napisem „diligentibus“ nie podaje ani Raczyński, ani Bentkowski; był medal z napisem „diligentiae“ ustanowiony na nagrody w korpusie kadetów, potem we wszystkich polskich szkołach rozdawany za szczególną pilność. Medal ten miał z jednej strony wizerunek króla, z drugiej napis wśród wieńca laurowego, na innej odmianie zamiast wizerunku był monogram króla.

**) Był to właśnie Sejm czteroletni, którego marszałkiem z Korony był Małachowski Stanisław, a z Litwy Kaźmierz Sapieha.

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Ciąg dalszy).

W 1861 r. w kościele Monmartre między dziećmi przystępującemi do pierwszej komunji jedno dostało konwulsji, wzruszone mową kaznodziei, który nie szczędził kolorów, opisując kary niebieskie ścigające grzeszników. Po niem piętnaścioro dzieci dostało konwulsyjnych ataków. Każde z nich najprzód wydawało krzyk, potem padało bez czucia, następnie dostawało drgawek. U jednych napad trwał krótko, u drugich półtorej godziny. Przy końcu napadu każde dziecko widziało ogień, a w ogniu wielki czerwony krucyfiks.

W jednym z klasztorów paryskich w 1698 r. dostała zakonnica histerycznego napadu, w czasie którego zaczęła miauczyć jak kot. Miauczenie to wkrótce udzieliło się całemu klasztorowi, aż do starej przełożonej. Codziennie o godzinie piątej po południu wszystkie siostrzyczki biegały po klasztorze miaucząc nieustannie przez kilka godzin. Te krzyki i hałasy w klasztorze narobiły takiego skandalu, że magistrat posłał kompanję żołnierzy do klasztoru i nakaz, żeby na ulicy w progu klasztoru cieleśnie ukarano pierwszą mateczkę, która miauknie. Przestrach podziałał tak silnie, że spokój wrócił natychmiast; tylko najmocniej dotknięte miauczały położywszy głowę pod poduszkę, ale i to wkrótce ustało (Nicolle).

Naśladownictwo jak powiedziałem istnieje nietylko między ludźmi, lecz i między zwierzętami. Konie łykawe, mające odbijanie i gryzące żłoby; konie nieustannie ruszające głową, jak białe niedźwiedzie, udzielają nałogu tego innym.

Jak wyobraźnia, tak i naśladownictwo będąc przyczyną wielu chorób nerwowych, może być potężnym środkiem uzdrowienia. W Tain, w departamencie Dromy, corocznie przychodzą pielgrzymi zrywać w noc majową, przy pełni księżyca, roślinę Gallium albanum, która ma leczyć od epilepsji, i rzeczywiście ma wielu z chorych odzyskiwać zdrowie. Jest to skutek wpływu wyobraźni uderzonej spisem cudownych uleczeń i naśladownictwa z wiarą i zaufaniem szukających uzdrowienia. Tu zapewne leży także tajemnica uzdrowień cudownych dokonanych przez kardynała Rauschera, o których tak wiele niedawno jeszcze pisały dzienniki niemieckie.

Do bardzo silnych wpływów moralnych należy doliczyć nagły i niespodziewany przestrach, który może zrodzić ciężką chorobę, lecz może też i uleczyć.

Co może zdziałać strach paniczny, pozwolę sobie przedstawić w kilku przykładach.

W czasie wojny z Czerkiesami na Kaukazie, bataljon kabardyńskiego pułku, składającego się z najbitniejszych żołnierzy, wyruszył w drogę wieczorem, żeby pod osłoną nocy obejść położenie nieprzyjaciela, a nad ranem napaść na niego. Kazano zachować wszelkie ostrożności, żeby nieprzyjaciel nie dostrzegł tego manewru: iść cicho, bez śpiewów, a w nocy ogni nie palić. Po przybyciu na miejsce rozstawiono czaty, a bataljon uszykował się w kolumnie do ataku, każda rota ze swą bronią złożoną w kozły. Nastąpiła noc tak ciemna, że o dwa kroki nic nie było widać. Żołnierze zmęczeni marszem w górach usnęli.

Około 2giej po północy żołnierz stojący na czatach wystrzelił, widząc jakiś cień przesuwający się w pobliżu i nie odpowiadający na zapytanie. Echo górskie tysiącem strzałów odezwało się ze wszystkich stron. Zbudził się bataljon, każdy porwał broń, lecz ciemność zupełna nie pozwalała nic widzieć przed sobą. Żołnierz stojący w pierwszym plutonie, przerażony być może także jakiemś widmem, dał wystrzał; po nim zaczęli strzelać drudzy, sądząc że nieprzyjaciel zbliża się z frontu. Strzelanina zawrzała na całej linji i trwała do świtu. Gdy pierwszy brzask jutrzenki pozwolił obaczyć co się dzieje, z przerażeniem spostrzeżono, że połowa bataljonu została zabitą lub poranioną przez żołnierzy stojących w tylnych plutonach; nieprzyjaciela zaś nigdzie nie było, bo przy pierwszym alarmie widząc niebezpieczeństwo porzucił placówkę i przeniósł się w nocy na inne miejsce. Przestrach, który ogarnął w nocy żołnierzy i zrodził fatalną omyłkę, do tego stopnia zdemoralizował bataljon, że najstarsi żołnierze, osiwieli w boju, trzęśli się z przerażenia jak w febrze, i cały miesiąc upłynął nim ci ludzie przyszli do siebie i mogli być użyci znowu do służby. „Nie każdy jest mężnym o drugiej godzinie w nocy“... sprawiedliwie powiedział Napoleon!

W wojnie z Turkami cesarz Józef II chciał sam dowodzić wojskiem. Po naradzie wojennej postanowiono zrobić marsz nocny i nad ranem uderzyć na nieprzyjaciela. Noc była niezmiernie ciemna. Na czele szła straż przednia, za nią jechał sztab otaczający cesarza; potem szła piechota, a w pewnem oddaleniu straż tylna złożona z kawalerji i artylerji. W czasie uciążliwego nocnego marszu, ktoś ze świty zauważał, że kolumna piechoty bardzo się rozciągnęła, i powiedział to cesarzowi. Cesarz kazał wojskom stanąć i częściom kolumny zbliżyć się do siebie. Adjutanci polecieli wzdłuż kolumny krzycząc: „halt, halt!“ Okrzyk ten po-

wtórzony wielokrotnie zmięszał żołnierzy, bo wielu zdawało się, iż słyszą okrzyk wojenny Turków: Allah! Allah! Dowodzący ostatnim pułkiem kolumny będąc tego przekonania, że Turcy atakują, i słysząc tętent koni i artylerji zbliżającej się, kazał dać ognia w stronę zkąd nadciągała straż tylna. Przywitany kulami dowódca straży tylnej, sądząc że wpadł w zasadzkę, kazał artylerji zająć pozycję i odpowiedzieć kartaczami. Cesarz słysząc grzmot armatni, przekonany że go Turcy atakują, kazał co prędzej wzmocnić linję bojową i uszykować wojsko. Zagrzmiały strzały armatnie na całej linji. Straż tylna widząc, że może być odciętą, wystrzeliwszy wszystkie ładunki postanowiła przebić się przez mniemanego nieprzyjaciela. Ruszyła więc naprzód. Na nieszczęście pułki piechotne, które ją spotkały, były słowiańskie, a Słowian bardzo dużo w tureckiem wojsku. Kawalerja wleciała na piechotę depcąc i mordując wszystko co stało w drodze. Bitwa trwała kilka godzin. Gdy świtać zaczęło opamiętali się dowódcy, opamiętali się żołnierze, bo poznali się wzajemnie, lecz omyłka ta kosztowała kilkanaście tysięcy wojska. Turcy tymczasem słysząc kanonadę myśleli że Mahomet bije Chrześcijan, i siedząc w fortecy wołali: „La Illah il Allah, Mahomet rasoul Alah.“ Zdemoralizowanie austryjackiego wojska było tak wielkie, i strach tak ogarnął wszystkich, że cesarz widząc niemożność prowadzenia takiej armji przeciwko Turkom, posłał do nich pełnomocnika prosząc o zawarcie pokoju.

W 1807 r. po otrzymaniu ciegów pod Jeną i Auersztetem ojcowie dzisiejszych bohaterów z pod Sadowy i Sedanu do tego stopnia byli zdemoralizowani, i taki niezmierny strach ich ogarnął przed Francuzami, że forteca Küstrin nad Elbą poddała się konnemu oddziałowi jenerała Mutona, a ponieważ rzeka oddzielała fortecę od nieprzyjaciela, w warunkach kapitulacji umieszczono punkt, że komendant przyśle łódki po Francuzów, bo inaczej nie mogli wejść do fortecy. Haniebniejszej kapitulacji nie ma w wojennej historji, a przyczyną — strach paniczny.

W życiu dwa razy doznałem na sobie strachu panicznego. Gdym był w kadeckim korpusie, karmiono tam nas bardzo skromnie, a często dawano takie jadło, że najniewymyślniejszy jeść nie mógł. Otóż raz na wieczerzę dano mleko, a raczej jakiś surogat mleka obrzydliwy. Dzieci odstawiły kubki z napojem i jadły chleb czarny. Jeden tylko kadet znany z obżarstwa i cierpiący przy tem na wielką chorobę, wypijał mleko wszystkich swych kolegów. W tem usta wykrzywił, oczy mu w słup stanęły, z krzykiem potoczył się na ziemię i dostał konwulsji. Któreś z dzieci, przestraszone mocno krzyknęło: „Uciekajmy, tu nas trują!“ Nie wiedząc co się stało, a słysząc krzyk przeraźliwy i widząc uciekających na wszystkie strony, dzieci siedzące za drugiemi stołami także skoczyły z miejsc, i zaczęły uciekać, gdzie komu do głowy przyszło. Przerażenie, wstrząśnienie nerwów było tak wielkie, że wiele dzieci dostało konwulsji ze strachu; inne zaś były tak wzruszone, że kilka dni trzęsły się przy najmniejszym hałasie, krzyku lub stuknięciu, i bały się przejść przez ciemny pokój.

(c. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

X.

O wężach.

„Żadne zjawisko samo z siebie się nie objaśni; dopiero przejrzenie wielu z nich i metodyczne ich uporządkowanie dają w końcu to, co teorji może mieć znaczenie.“

Goethe.

„Życie w materji ożywnej w powszechności jest ciągłą przemianą formy, w danej formie ciągłą przemianą materji.“

Jędrzej Śniadecki

„Zaczem nie inaczej jedne żyjące jestestwa, jak tylko przez upadek drugich powstawać, — nie inaczej jedne zwierząt i roślin gatunki mnożyć się i rozpościerać mogą, jak tylko inne rodzaje i gatunki gubiąc, uciskając i niszcząc.“

Tenże.

Strasznym jest zaprawdę obraz i zgrozy pełnym i wstrętu, jaki nam podróżnicy o wężach i ich walkach z innemi zwierzętami malują. Te gorących stref potworne istoty, nieraz czterdzieści stóp długie, po wilgotnej ziemi wijąc się i czołgając, już samym ogromem swoim i wstrętną śliską skórą nabawiają widza niewypowiedzianego strachu, a cóż dopiero gdy otworzą kolosalną swą paszczę ostremi i jadu pełnemi zębami uzbrojoną, gdy nabrzmiałemi i czerwonemi swojemi oczami spojrzą na ofiarę, a podniosłszy głowę do góry, syczą i poruszają rozdwojonym swym językiem? Cóż gdy z pod akacji krzaku się wychylając, czatują na zdobycz, a gdy ta blisko podejdzie, nagle w jednym oka mgnieniu rzucają się na nią, skrętami swojego zimnego cielska opasują ją.... gruchocą i powoli połykają? Czyż wtedy nie zadrży i najodważniejszy świadek, i czy zresztą Ciebie na samo wspomnienie tych śmiertelnych uścisków węża, nie oblewa zimny pot czytelniku?! A ileż to razy nie pojedyncze, lecz gniazdo całe tych drapieżców potwornych na wycieczkę wyrusza, a każdy z nich sunąc się pomiędzy krzaki z podniesioną do góry głową, pozostawia ślad po sobie, w którym by wielka jodła lub maszt okrętowy wygodnie się pomieścił!

Lecz odwróćmy oczy od tego strasznego obrazu, a wspomnijmy na to, cośmy dawniej powiedzieli, mianowicie, że wiele nieuzasadnionego do wężów tkwi w nas wstrętu, że często bezpodstawny tylko przesąd każe nam unikać ich, bać się i brzydzić. Wspomnijmy na owe w Indjach murzynki, a nawet białe tamże zamieszkałe kobiety, które oswajają węże, kładą je na łono swoje, okręcają w koło szyi i rąk, jakby wytworne naszyjniki lub bransolety, bez szkody dla zdrowia, bez bojaźni utraty życia. Jakiż inny ztąd wniosek mimowolnie się nasuwa, jeżeli nie ten, że są węże obok szkodliwych, jadowitych, zupełnie nieszkodliwe, niejadowite, że niesłusznie wszystkie wzbudzają obawę. Że obawa przed temi niesympatycznemi zwierzętami jest instynktową, mówiliśmy dawniej, a wrodzona bojaźń małp przed wężami jest tego dowodem. Lecz tysiące baśni na to konto opowiadanych, owa własność czarowania, czyli też odurzania ofiary wyziewami swojego ciała, przypisywana wężom, a nawet przez wielkiego Linneusza uznana za prawdziwą, dziś w świecie uczonych nie ma żadnego znaczenia. Mówiono, że wiewiórki pod wpływem utkwionego w nie wzroku węża, gdy ten sycząc, czai się na nie, są zmuszone, jakby jakąś czarnoksięską siłą przyciągania, z wysokich drzew prosto do paszczy mu wpadać i tym sposobem stawać się pastwą tego potwora. Ta to bajka właśnie przyjętą została przez Linneusza. Lecz już Barton i Vosmaer zaprzeczyli jej uroczyście. Ostatni zamykał w jednej klatce z *grzechotnikiem* (Crotalus) ptaki, które dalekie od zabójczych wpływów spojrzeń tego niebezpiecznego węża, najswobodniej dziobały mu po grzbiecie.

Wszystkie węże tak *niejadowite* (Aglyphodonta s. Innocua), jak *jadowite* (venenosa) odznaczają się szczególną do potrzeb życiowych zastosowaną budową ciała. Są to wydłużone wałkowate a beznożne stworzenia, z wierzchu pokryte łuską a spodem tarczami, i wszystkie do *płazów* (reptilie s. pholidota) nie zaś do skrzeków należą. Od długości ich ciała zależy ilość kręgów, lecz nadewszystko godną uwagi jest głowa, szczególnie szerokopaszczych wężów i ruchomość żeber, za pomocą których posuwają się one po ziemi. Dolnej szczęki ramiona niezrośnięte z sobą na przodzie, a z górną połączone za pomocą osobnej kości, kwadratową zwanej, dozwalają wężom rozpostrzeć paszczę tak szeroko, iż wielkie stosunkowo, szersze od siebie zwierzęta objąć mogą, a uczepiwszy się zębami do ofiary, wpychają się na nią, do czego prężność żeber, mnóstwo śliny i kierunek zębów dosknale im pomagają. Z powiedzianego widzimy więc, że wąż swą zdobycz w całości przełyka, czyli raczej wsuwa się na nią, wprzód śmiertelnie zraniwszy ją jadowitemi zębami, lub zgruchotawszy kości skrętami długiego swego ciała. Język u węża pochwą otoczony i z niej wysuwalny, dwudzielny na końcu, to nie żądło, jak przesąd przypuszcza; to organ dotykania, który ani do smaku ani obrony nie służy. Nie przykryte ruchomą powieką oko, brak jamy bębenkowej w przyrządzie słuchowym i mostka zupełnie — oto są główniejsze charakterystyczne cechy węży budowy.

Wszystkie węże z mniejszą lub większą łatwością pomimo braku nóg — pełzają po ziemi; niektóre z równąż łatwością w wodzie pływają i po drzewach łażą, a żywią się li zwierzętami. Widziano, powiada Virey, w Brazylji i Surynamie ogromnej długości węże, które okręcając się na około drzew, czatują na zdobycz, jak z łatwością połykały ludzi. Lecz przesadzone są często opowieści o kolosalnej długości i sile tych zwierząt. Tenże sam Virey przytacza opowieść o Regulusie, wodzu rzymskim, który jakoby między Kartageną a Utyką spotkał węża takiej wielkości, że żołnierzy, czerpiących wodę w rzece, dusił w swych uściskach, a żaden pocisk nie mógł jego przebić łuski, na kształt miedzi połyskującej; zatoczone przeciw niemu kusze i machiny wojenne ówczesnego czasu zgruchotały mu kość pacierzową, lecz pomimo tego kalectwa, strasznym jeszcze miał być dla wojska; aż dopiero wysłane przeciw niemu kohorty, zaledwie go dobić potrafiły. Skórę zeń na 120 stóp długą posłać miał Regulus jako trofea do Rzymu, którą w kościele zawieszoną, oglądać miano w czasie wojny Numatyńskiej.

Najstraszniejszemi z niejadowitych wężów dla ludzi i zwierząt są brazylijskie i starego lądu gatunki *niedonogich* (peropoda), które w tyle ciała posiadają szczątkowe, po kopalnych swych przo-

dkach oddziedziczone odnoża, w kształcie dwóch rogowatych wyrostków. Do nich należy *dusiciel boa* (Boa constrictor), który jednak człowieka nie napada, żywiąc się ssakami nie większemi nad sarnę. Ukryty w zaroślach, lub owinięty na drzewie czatuje przy źródłach na zdobycz. Gdy ładna, wysmukła gazela, rozglądając się na okół łagodnem, lecz lękliwem spojrzeniem ostrożnie podchodzi, by nad brzegiem ugasić pragnienie, wąż rzuca się na nią jak strzała i mnogiemi sploty owijając, ściska, dusi i gruchoce niewinne zwierzę, które wśród męczarń śmierci napróżno wzywa ratunku swej matki. Nieżywy łup na ziemię rzuciwszy, lepką śliną nawodzi, rozdziawia ogromną swą paszczę i powoli zaczyna połykać w całości. Zjadłszy zwierzę, trawi leżąc nieruchomo przez dłuższy czas, a wówczas najłatwiej zabijają go krajowcy. Drugim jest *korbacz anakonda* dla ludzi niebezpieczny. W Indjach Wschodnich olbrzymie *pytony* (Python) są plagą tamecznych mieszkańców.

Nasz *gniewosz* (coronella laevis) zielonawoszary lub czerwonawy, z jedną brunatną plamą kształtu podkowy na karku, a z wieloma wzdłuż grzbietu we dwa rzędy ułożonemi, choć zły w obec napastnika, nie będąc jednak ani zbyt silnym, ani jadowitym, jest nawet pożytecznym. *Pławiacz* (Tropidonotus hydrus) i największy z krajowych wężów *zaskroniec* (tropnatrix) również nie są szkodliwemi. Jedna tylko *żmija*, albo *gadzina* (Pelias) z pomiędzy naszych wężów jest jadowitą ludziom i zwierzętom szkodliwą. Kilka jej odmian mamy jak: *miedzianka* (pel. chersea), *czarnucha* (pelias praester) a wszystkie są szkodliwe dla ludzi, jeżeli napadnięte kąsają, w przeciwnym bowiem razie unikają człowieka. Wszystkie węże w naturalnym biegu rzeczy składają jaja, z których młode się lęgną. Niewola jednak, brak odpowiednich życiowych warunków, do których są przyzwyczajone te płazy, wywołują w nich przemianę co do sposobu przychodzenia na świat. Najczęściej u nas i w całej środkowej Europie spotykany wąż *zaskroniec* (T. natrix) jest wężem wodnym i składa jajka, które potrzebują tylko trzech tygodni do swego rozwoju. Trzymany w klatce, w którą się nie nasypie piasku, nie znosi już więcej jaj, lecz zatrzymuje je w swem ciele, aż do zupełnego rozwoju młodego potomstwa.

Otóż nowy dowód wpływu otaczającego medium na zmienność gatunku, a zarazem dowód małej bardzo różnicy między żyworodnemi zwierzętami, a znoszącemi jajka, dowód jak wskutek prostego przemienienia gruntu znika ta na pozór wielka różnica!

Z jadowitych dwa węże, mianowicie: *grzechotnik* (Crotalus) i *okularnik* (Naja), choć straszne i szkodliwe łupieżce, to jednak za nadto są znane wszystkim, abyśmy cechy ich od innych wyróżniające tu mieli przytaczać. Grzechotniki jednak prócz szkodliwości swojego jadu i grzechotki na końcu ogona umieszczonej, która z resztek zeschłego naskórka po każdem lenieniu powstała, warte są wspomnienia. Odznaczają się one nadzwyczajną pieczołowitością dla swych młodych, pieczołowitością jakiej zazdrościć mogą i ssaki. Układają już swe jaja tak, iż opasując je w okół, w jedno miejsce gromadzą, i wystawiają pod działanie południowego słońca, lecz co dziwne, że małe po wykłuciu się z jajka w paszczy swej matki chronią się od niebezpieczeństwa i często milami przenoszone bywają w tej naturalnej lektyce. Okularnik znów choć wściekły jest w gniewie, nieubłagany i straszny, gdy szyję rozedmie i z podniesioną przednią połową ciała na napastnika się sunie, amator jednak muzyki, na odgłos dźwięcznego głosu fletu da sobie zęby z górnej szczęki powyrywać, byle tylko zaspokoić niepohamowaną swą żyłkę muzyczną. Takim sposobem perscy i egipscy kuglarze pozbawiają je broni — jadowitych zębów górnej szczęki, oswajają i powolnemi swym rozkazom czynią; takim sposobem dostają się one do niewoli—do menażerji. I gdyby piękna Kleopatra zamiast grać wdziękami, na fujarce była zagrała, nie zginęła by tak okropną śmiercią!

Dzisiejsze jaszczurki, węże, krokodyle i żółwie są słabym tylko odwzorem nieskończenie różnokształtnej gromady płazów drugorzędnego okresu, panującej wówczas nad wszystkiemi innemi gromadami kręgowców. Olbrzymi rozwój płazów podczas drugorzędnego okresu z całą słusznością zasługuje na nazwę okresu płazów. Owe działozębne (Thecodontia) *pierwopłazy*, (Tocosauria) tryjasowego układu, tak do dzisiejszych jaszczurek podobne, sławne *skrzydłopłazy* (Pterosauria) mezolitycznego pokładu, które wielkością przewyższały wszystkie dzisiejsze latające ptaki, niemniej *smoki* (Dinosauria s. Pachypoda) dolnych kredowych utworów, których skamieniałości okazują nam, iż były największemi mieszkańcami lądowemi, jakie kiedykolwiek zamieszkiwały kulę ziemską, wszystkie one dowodzą nam jasno znacznego rozwoju przodków dzisiejszych płazów podczas mezolitycznego okresu.

Lecz i dziś, lubo większa część naszego klimatu płazów, trzymając się cienistych miejsc, na mokradłach bagnisk nie jest widoczną, jeżeli jednak śledzić je tam zechcemy, w tych błotnistych siedliskach, ujrzymy nadspodziewanie wielką ich ilość. A gdy zajrzymy do błot gorącego klimatu, do tego naturalnego państwa tych istot, gdzie wszystko sprzyja ich rozwojowi, zdumiejemy się choć nie nad ilością osobnych gatunków, lecz nad nieprzeliczonem mnóstwem osobników. Tam węże roją się dwa razy do roku; a gdy krajowcy ogień zapalą w zaroślach, wysypują się one z nich w przerażającej liczbie i ścieśnionemi szeregami uciekają na wsze strony; jaszczurki kryją się po norach, pozostawiając na łup nieprzyjacielowi długi swój ogon, o który nie mają obawy, gdyż urwany odrośnie na nowo. Te stworzenia w największej niełasce u natury pozostając, dla człowieka wstrętne, dla wielu ptaków zdobycz łakoma, same bojaźliwe po większej części i bezbronne giną coraz więcej. Tchórzliwy z natury wąż, często bezbronny nie ma nawet środka ucieczki, brakuje mu bowiem nóg, pełza tylko, ocala się roztropnością, ukryty w zaroślach niewidzialnie się posuwa i sztuką uchodzi przed strasznem prześladowaniem swego nieprzyjaciela. Żółw skrywszy się w swój domek twardy, poddaje się na łaskę i niełaskę wroga; zwinniejsza jaszczurka umyka co sił starczy. Tylko niektóre węże dla obrony posiadają broń — a choć broń ich straszna, to jednak rzadko niezaczepione szukają wojny; tylko głodem zniewolone, rzucają się na zdobycz, a zaspokoiwszy tę naturalną potrzebę, znów są bojaźliwe i spokojne.

Krokodyl jeden z pomiędzy płazów jest krwi chciwem zwierzęciem, on jeden bez przyczyny napada często, choć nie zawsze, to też i egzystencja jego niedługo prawdopodobnie na ziemi, tępią go bowiem tak ludzie, jak zwierzęta, polując na niego i na składane przezeń jajka.

Z liczby do dziś dnia żyjących płazów, *jaszczurki* (Lacertilia) są najbliżej spokrewnione z wymarłemi pierwopłazami; z jaszczurek dopiero, i to z jednego ich rzędu, rozwinęły się *węże* (ophidia), prawdopodobnie z początkiem trzeciorzędnego okresu, przynajmniej wszystkie znane dotąd skamieniałości wężów z tego okresu pochodzą. Z pomiędzy więc dzisiejszych płazów są one najmłodszemi, krokodyle bowiem i żółwie znajdują się w wielkiej ilości skamieniałe w jurajskich utworach (formacjach), a jedna tylko forma krokodyla, aligator, jest może równie nie dawną z wężami, znajdując się dopiero w górnych warstwach kredowej formacji drugorzędnego pokładu i w eoceńskich trzeciorzędnego.

Nad brzegiem Dniestru.

Samotną jestem w królestwie milczenia...
Tylko ty ze mną, o posępny, blady
Promieniu myśli!
Nademną w arkady,
Splotły gałęzie zielone sklepienia,
Bluszcz miękkie sploty rozwiesza niedbale
Nieoderwane... jak szczęścia wspomnienie!
A u stóp moich ciche szemrzą fale,
Jak rezygnacji stłumione westchnienie!

Piosnka słowika gdzieś dźwięczy z alei,
Jak srebrna struna czarodziejskiej lutni —
W tym hymnie wiosny najcudniej... najsmutniej!
Bo taką skargą bólu bez nadziei
Że gdy poranną lub wieczorną ciszą,
Płynącą w jasne, pogodne niebiosy,
Piosnkę tę róże płonące usłyszą —
Bledną... jak we łzach drżąc w perełkach rosy!

W dali, na falach wzburzonych przeszłości,
Jeszcze się moja strzaskana łódź miota!
Łódka nadziei... wiary... i miłości...
W której płynęłam przez otchłań żywota
Ufna w jej całość — aż burze zawyły,
Aż zwyciężoną bez woli i siły,
Życie ku obcym wybrzeżom uniosło!
Gdzie jak rozbitek na wyspie dalekiej
Patrzę na smutne tonące jej szczątki —
Na lat ubiegłych marzenia... pamiątki...
I żegnam wszystkie i żegnam na wieki!

Pokój wam! druhy tęsknoty serdecznej,
Towarzyszące w mej drogi manowcach —
Oto dziś ryję na waszych grobowcach
Jedyny napis: „Niepamięci wiecznej!“ —
Śnijcie spokojnie, aż was głos anioła
Zbudzi do życia z popiołów i pleśni
Gdy wszystkie zmarłe Bóg dźwięki powoła
I związe w akord nieskończonej pieśni!

Oto już ciche słowików podzwonne
Płynie za wami modlitwą ku niebu —
I tchnienia wiosny unoszą się wonne,
Jak mgły kadzideł waszego pogrzebu!
A ja... zostaję samotną wśród ludzi...
I o nic Boga nie proszę już więcej —
Jak, aby zawisł wśród blasków i woni
Ów sen niebieski nad żarem mej skroni,
Z którego boleść już nigdy nie budzi!
Aby rwąc prędko te okowy ciała
Dusza tak lekko ku niemu wzleciała,
Jak ton ostatni piosenki ptaszęcej!

Maj 1874.

Marja B.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VI.

P. Alfred zastał panią Helenę w jej saloniku, którego okna wychodziły na ogród. Było to cacko, przypominające pudełka na cukierki, albo malowaną sielankę z XVIII stulecia, albo, jak czasem utrzymywał p. Tadeusz, elegancki salon fryzjerski. Do tego porównania dawały mu prawdopodobnie pochop obicia jedwabne na ścianach, o perłowem tle, zasianem niezabudkami z turkusowemi kwiatkami i nieśmiało zielonemi listkami. Jasno orzechowa posadzka, kobierce jasnej barwy, meble filigranowe, obite blado niebieskim atłasem, porcelanowe statuetki i inne drobiazgi poumieszczane na konzolach i etażerkach, wszystko to razem składało się na całość tak słodko pieszczotliwą i niewinną, że rośliny egzotyczne, umieszczone przed oknami w ogromnych i przepysznych porcelanowych wazonach, pełną, soczystą zielenią swoją i czerwonym żarem dużych kwiatów odbijały od reszty, jak namiętne dzieci południowego lata od łagodnej, tkliwej, sentymentalnej wiosny północnej, albo jak gorący wiersz Safony od ciepławego gruchania jakiej zesłowiczałej gołębicy nad Wisłą, Elbą lub Tamizą. Z innemi komnatami w zamku, trzymanemi w stylu poważnym, odpowiadającym starożytności budynku, salonik ten stanowił kontrast jeszcze mocniejszy. Takim, jakim był, powstał on wyłącznie z pomysłu pani Heleny, która najchętniej w nim przesiadywała, i zamiłowania swego do tego kącika broniła czasem w sposób humorystyczny, utrzymując, że reszta zamku rymiszowskiego miała dla niej jakiś koloryt tragiczny, z którym trudno było oswoić się na codzień. W istocie, gmachy tego rodzaju czynią wrażenie, jakoby w nich mogły mieszkać tylko bardzo wzniosłe cnoty albo bardzo wielkie zbrodnie, lubujące się we własnej grozie; podczas gdy salonik pani Heleny był jakby stworzonym na przybytek dla uczuć spokojnych, powszednich, w dobrem nie wychodzących po za słowa: lubię, życzę, a w złem, poza bierny egoizm zepsutego pieszczotami dziecka. Pani Helena nie miała nic przeciw temu, by ją miano za właścicielkę uczuć tego rodzaju, a kto ją znał dłużej, ten musiał coraz bardziej utwierdzać się w tem mniemaniu, jeżeli nie był tak niedyskretnym jak my, i nie zaglądał do sekretarzyka znajdującego się opodal w narożnej baszcie, czy wieży.

Pani Zamecka przyjęła gościa, melancholijnie rozparta w kozetce i jakby pogrążona w apatji, wywołanej gorącem i migreną. Apatycznym był także ruch ręki, którym mu wskazała miniaturowy fotel blisko niej stojący, na znak, by usiadł. P. Alfred wszakże, zamiast pójść za tem wezwaniem, stał na środku salonu z wyrazem spotęgowanego niepokoju w twarzy, i oglądał się to na jedne drzwi, to na drugie.

— Nie ma nikogo, rzekła pani Helena półgłosem.— A zresztą — dodała, biorąc za taśmę od dzwonka. Za chwilę pojawiła się pokojówka.

— Czy jest panna?

— Nie ma jej, poszła do leśniczyney; mówiła, że jej pani hrabina pozwoliła....

— To dobrze. A ty podobnoś chciałaś iść do Korytnicy? Możesz pójść, ale wracaj wcześnie. I — proszę cię, pan ma jechać za chwilę do Rozworzan, pójdź i powiedz że proszę, ażeby wziął z sobą parę melonów dla pani Grykiewiczowej.

Pokojówka znikła, i wróciła matychmiast z raportem, że melony już są w dorożce, że pan „hrabia“ już jest na wsiadaniu, wraz z ks. proboszczem, jadą bowiem obydwaj w odwidziny do dzierżawcy w Rozworzanach, i że ona, Tereska, całuje rączki pani hrabiny i obiecuje wrócić przed zachodem słońca z Korytnicy, gdzie odwidzi swoją rodzinę. Pani Zamecka poleciła jej jeszcze, ażeby zamknęła garderobę, gdy odejdzie, a gdy łoskot drzwi dał znać, że polecenie to było spełnione, pan Alfred zbliżył się nareszcie do kozetki i przemówił.

— Wszystko stracone, rzekł.

Pani Helena podniosła oczy na niego i zapytała flegmatycznie:

— Czy było tak wiele do stracenia?

— Wiele, czy mało, to wszystko jedno — dosyć, że Dornbusch zaskarżył weksel, i z trzech podpisów, wybrał sobie do skargi właśnie podpis Zameckiego, dodając, że jego miejsce pobytu nie jest mu wiadome. Za parę dni, nakaz zapłaty pojawi się w dzienniku urzędowym....

— I cóż ty na to?

— Ja? Ja... nie wiem.... Przyjechałem.... poradzić się.... Może się jeszcze co da zrobić.

— Co, naprzykład?

— Żyd z Brzeziniec chce wziąć odemnie Kruchówkę w dzierżawę na sześć lat. Płaci mi za trzy lata z góry i kupuje cały inwentarz odemnie.

— Ileż ci daje razem?

— Trzy tysiące tylko, bo powiada, ze niezadługo Kruchówka może być zlicytowaną za długi a on pójdzie z kwitkiem.

Żyd miał słuszność po części, kilkoletnia praca p. Alfreda około „oczyszczenia“ Kruchówki wydała była bowiem rezultaty zupełnie różne od tych, w które wierzył p. Zamecki. Nawet podkowy słynnego kasztanka, ściśle biorąc, były tak obdłużone, jak gdyby były ze złota.

— Trzy tysiące, to tyle, co nic — zauważyła pani Helena nie tracąc flegmy.

— Zapewne, ale gdybyś chciała pomódz mi trochę, mógłbym.....

— Ciekawam, cobyś mógł?

— Wyjechać za granicę, i próbować szczęścia....

— A ja?

— Ty..... Ach! ty.... ty masz jakieś swoje plany....

Lucrezia Floriani zerwała się z kozetki i przystąpiła do Tealda Soavi z owemi piorunami w oczach, przed któremi, jak wiemy, drżał jak student Chrystusowy charakter jej miłości, o którym czytaliśmy tyle pięknych rzeczy w ustępie wypisanym z książki pani Sand — narażony był na ciężką próbę. Ale bo też i Tealdo coraz mniej był aniołem! Zamiast wszakże wybuchnąć gniewem, pani Helena zaśmiała się tylko spazmatycznie.

— Czy ty wiesz, co mówisz? zapytała. Chcesz uciekać, a mnie pozwalasz wspaniałomyślnie albo otruć się, albo znieść w pokorze skutki twoich sprawek! Jest to podłość tak niedorzeczna w swojej naiwności, że aż mi trudno brać ci ją za złe!

— Ależ powiedz mi, co robić, co robić! Ja tracę zmysły... ja czuję, że jestem zgubionym! Tak, zgubionym! O, nieszczęście, nieszczęście!

P. Alfred upadł na fotel, z załamanemi rękami, i począł — nie płakać, ale szlochać, zawodzić i tłuc głową o poręcze fotelu w konwulsjach rozpaczy. Był to widok, ze względu na sytuację i na to wszystko, co ją stworzyło, wstrętniejszy stokroć od widoku zatwardziałego złoczyńcy z fatalistyczną obojętnością spoglądającego na los, który sobie zgotował, ale nie profanującego przynajmniej tem zachowaniem się swojem łez, tej broni uciśnionych i niewinnych, łez, w których jest zawsze odwołanie się do sprawiedliwości, do współczucia, do litości. Jeżeli straszną jest złość, nieznająca trwogi, to złość kwiląca ze strachu jest ohydną, obrzydliwą. Takie łzy jakie wylewał p. Alfred, nie mogą przemówić do serca ludzkiego; mogą one chyba przemówić do nadludzkiej litości anioła, albo do nadludzkiej dumy szatana.

Niechaj, kto chce, rozstrzyga, dla czego łzy te sprawiły w tej chwili inne wrażenie, niż to, na które zasługiwały, dla czego przemówiły do pani Heleny, rozczuliły ją prawie? Gdyby uczucie zadowolenia, jakiego doznajemy opiekując się słabszą istotą, lub służąc jej za podporę, było na wskróś niesamolubnem, zagadka ta nie byłaby do rozwiązania. Ale uczucie to nie jest nigdy wolnem od pewnej przymieszki dumy. Do zadowolenia z dobroczynnych skutków naszej opieki, łączy się zadowolenie wynikające z poczucia własnej wyższości. Drugie to poczucie było od dawna jedyną moralnie logiczną pobudką, tłumaczącą stosunek między panią Heleną a Alfredem, i w tej chwili wzięło ono górę na jego korzyść. Gdyby był mniej pogardy godnym i wstrętnym dla każdego innego oka, zbawienna reakcja przeciw ewangelji miłośnej pani Sand, wywołana objawionym przez niego zamiarem ucieczki i zostawienia Heleny jej losowi, byłaby się rozwinęła w jej umyśle. Tak zaś, był tylko pospolitym, bezradnym tchórzem, jakiego znała od dawna, — bał sie i płakał, podczas gdy ona jeżeli nie z zimną krwią, to bez płaczliwego lęku widziała zbliżające się niebezpieczeństwo. Nie wiedział co począć, podczas gdy ona była przygotowaną do walki i w głębi duszy powzięła już była postanowienie, które w tej chwili stało się nieodwołalnem. Kto wie, czy mogłaby się już była cofnąć, czy nie starała się już raczej tylko utwierdzić w swoich zamiarach, uzasadnić je i upiększyć we własnych oczach? Dosyć, że przystąpiła jeszcze bliżej do niego, że wzięła go za rękę i powiedziała czułym głosem:

— Nie obawiaj się niczego, Alfredzie; możesz liczyć na mnie...

Gdyby szybko po sobie następujące wypadki zostawiły jej były czas do prowadzenia dalej swojego dziennika, byłaby w nim zapewne zapisała tę chwilę, jako zaznaczoną aktem jeszcze jednego, ostatniego, heroicznego poświęcenia. Wszak czytaliśmy już, że pożycie jej z Tadeuszem i stosunek z Alfredem były jednem pasmem ciągłych poświęceń. Mało jest kobiet, któreby dopuszczając się złego postępku, nie „poświęcały się“ w ten sposób albo w inny, to jest, któreby długo nie wmawiały, i nakoniec nie wmówiły w siebie, że czyn ich nie wynika z pobudek egoistycznych, ale owszem jest aktem szlachetnego zaparcia się siebie samej, dla jakiegoś — ideału. A ileż książek, ile wierszy rozmaitych przychodzi w pomoc tej sofisterji, która głęboko tkwi w samej już naturze kobiecej! Cała z małemi wyjątkami poezja liryczna, nie uczy nas przecież nic innego jak tylko apoteozować nasze „ja!“ Liryk nigdy prawie ze skruchą nie wchodzi w siebie, nie czuje się złym, niegodnym, upokorzonym,

winnym — zawsze jemu ktoś krzywdę wyrządził, on tylko czuje, on jest wielkim, on jest ofiarą. Na miljony np. niewiernych kochanków i kochanek, na tysiące między nimi, śpiewających o miłości, jeden tylko autor Manfreda dał potężny wyraz żalowi i rozpaczy, której doznajemy lub doznawać powinniśmy, gdy z naszej winy skrwawi się i pęknie inne, a nie nasze serce. Ale poeta ten nie był lirykiem, (i nie cierpiał powieści, pisanych przez kobiety) — nigdy też nie został ulubieńcem kobiet, i w pięćdziesiąt lat jeszcze po jego śmierci znalazła się jędza, która go ścigała oszczerstwami. Jeżeli się weźmie sens moralny najulubieńszej lektury całych pewnych klas społeczeństwa, dziwić się potrzeba, że tak mało wydarza się wielkich zbrodni, i wytłumaczyć sobie to można jedynie tem, że do wielkiej zbrodni potrzeba wielkiej odwagi, a więc przymiotu, który nie jest tak pospolitym, jak złe książki i złe myśli......

P. Alfred przyszedł do siebie, usłyszawszy słowa pani Heleny, które mu dodawały otuchy, i od razu wpadł z jednej ostateczności w drugą, z rozpaczy w zachwyt. Okrywał pocałunkami ręce Heleny, nazywał ją swoją zbawczynią, ubóstwiał ją w tej chwili. On widział w niej zawsze swoją dobrą gwiazdę! On widział, że ona znajdzie sposób ratunku! I jakiż to był sposób? pytał z biciem serca.

— Jest jeden tylko, odpowiedziała, ale ty musisz mi pomódz. Musisz mi przyrzec, że mogę liczyć na ciebie.

P. Zgorzelski dał to przyrzeczenie z największym zapałem, i chciał tylko wiedzieć, co mu pani Helena każe zrobić.

— Dowiesz się zaraz, ale wprzód przejdźmy do innego pokoju. To mówiąc, udała się do swojej „świątyni dąsów," która od innych komnat zamkowych oddzielona była jej sypialnią. Tam pan Alfred zajął miejsce pod oknem na dziwacznem, staroświeckiem krześle z ogromnemi poręczami, i oczekiwał jej rozkazów. Pani Helena chodziła szybko po pokoju. Przeszedłszy kilka razy tam i napowrót, zatrzymała się przed p. Alfredem.

— Musisz tu być jutro na objedzie.

— Będę.

— Musisz, skoro wstaniemy od stołu, i nim podadzą czarną kawę, wyjść pod jakimbądź pozorem.

— Wyjdę, ale dokąd?

— Przejdziesz przez ogród warzywny, ku inspektom, i ztamtąd dostaniesz się za gumno, tak, aby cię nikt sie spostrzegł, co tem łatwiej możesz zrobić, gdy jutro mamy święto i nikogo ze sług folwarcznych ani ogrodowych nie będzie w tej stronie.

— Tak, ale cóż dalej?

— Weźmiesz z sobą kawałek lontu z przyrządu do zapalania cygarów na wietrze, który masz w kieszeni, zapalisz go na jednym końcu, a drugi koniec wetkniesz w pudełko z zapałkami, w pół otwarte, od strony główek. Wymiarkujesz długość lontu tak, ażeby ogień dostał się do zapałek dopiero, gdy wrócisz do zamku, i posiedzisz z nami dłuższy czas na werandzie. Pudełko wraz z lontem włożysz w stertę słomy, ale tak, ażeby powietrze miało przystęp do ognia. Czy rozumiesz?

— Rozumiem, ale nie pojmuję..... Gumno wprawdzie asekurowane, ale teraz w lipcu sterty wymłócone, i asekuracja nie wiele zapłaci.... Zresztą co zapłaci, to zapłaci Zameckiemu.

— Zmiłuj że się, czy wszystkie twoje zdolności umysłowe skupiają się już tylko około tej jednej myśli, ażeby zkądkolwiek wydobyć jaką taką sumę pieniędzy? Co za niedorzeczność!

— Ależ poco każesz mi podpalać gumno?

— Nie potrzebujesz tego wiedzieć. Domyślisz się może, ale nie chcę, abyś mi kiedy wspominał o tem.

P. Alfred zadumał się i tarł ręką czoło. Widocznie niepokoiło go coś — wstał i oparł się o framugę okna, zasłoniętego zielonemi ruletami, tworzącemi żaluzje. Okno samo było otwarte, ale znajdowało się najmniej o dwa sążnie od ziemi, bo zamek wznosił się na wysokiem, starożytnem podmurowaniu. Opodal, o kilka kroków od baszty, w której mieściła się świątynia dąsów, była gęstwina, złożona z jaśminu, a w niej ukryta altanka. Odległość altanki od okna wynosiła dwadzieścia kilka kroków. Pan Alfred czuł potrzebę wolnego powietrza i podniosłszy na chwilę ruletę, wyglądnął przez okno. Nie dostrzegł tam nic, coby go zaniepokoiło jeszcze bardziej, i nic w ogóle, oprócz kilku ptaszków świergocących w krzakach. Wkrótce wszakże spuścił ruletę i odezwał się niepewnym głosem.

— Widzisz, Helenko.... może mię kto podpatrzeć przy tej czynności..... Teraz przynajmniej jestem wolny, ale gdyby.....

— Gdyby cię wyśledzono, dostałbyś się zawcześnie do więzienia, i nie mógłbyś uciec, rzekła niecierpliwie i szybko pani Zamecka. Nie obawiam się tego. Wszak wiem doskonale, że dwa lata temu podpaliłeś własne gumno w Kruchówce — nie wypieraj się, jestem przekonana o tem. Zrobiłeś to dość zręcznie i odważnie, możesz więc i teraz zdobyć się na tę zręczność i odwagę. Chyba nie chcesz?

— Ależ... wówczas przynajmniej wziąłem pieniądze, a tu nie widzę żadnej korzyści, a ogromne ryzyko... Ludzie Zameckiego przywiązani są do niego i gospodarstwo pilnowane jest w sposób wzorowy. Nie podobna mi odważyć się na coś podobnego....

Pani Helena powzięła była zamiar nie zwierzania się p. Alfredowi ze wszystkiem, ale wobec jego wahania się, niecierpliwość jej przemogła wszystkie względy, które jej kazały tak postępować.

— Więc ci powiem! rzekła półgłosem, i w taki sposób, jak gdyby na sobie samej studjowała wrażenie swoich wyrazów. — Pojmujesz? W chwili gdy wybuchnie pożar, i pierwszy ze służby wpadnie z tą wiadomością na werandę, Zamecki.... umrze.

— Umrze? powtórzył p. Alfred, obracając głowę, jak gdyby chciał radzić się framugi okna i rulety, jakim sposobem Zamecki umrze o wskazanej chwili. Osłupienie nie pozwoliło mu na razie zebrać myśli i zrozumieć Heleny. Od przyjazdu swego, zamiast odzyskać kontenans zwykły, p. Alfred tracił go coraz więcej i miał w twarzy wyraz pięknego, ale skończonego idjoty.

— Tak, umrze, mówiła, umrze na „udar sercowy."

— Zamecki umrze na udar sercowy! krzyknął p. Alfred tak głośno, aż sam przeląkł się echa, które rozległo się pod starożytnem sklepieniem.

— Szaleńcze! zawołała pani Helena, i przyskoczywszy do okna, podniosła szybko ruletę, wychyliła się i rozglądnęła pilnie na wszystkie strony. Nie było nikogo w ogrodzie, żaden szmer nie przerywał ciszy w skwarnem powietrzu lipcowem. Pani Helena nadsłuchywała czas jakiś, i uspokojona zamknęła okno. Pan Alfred musiał przenieść się w głąb pokoju, i usłyszał kilka ostrych wyrzutów za swój brak przytomności umysłu. Przez ten czas skupiał jak mógł swoje myśli, i zdał sobie sprawę z tego, co słyszał.

— Heleno, odezwał się, czy nie lepiej.....

— Nic nie lepiej, odparła stanowczo, z zaciśniętemi ustami. Rozważyłam wszystko, i jedna mi tylko zostaje droga do wyjścia.

— Więc to... to cyankalium!....

— Tak, to. Miało być dla mnie, albo nie dla mnie. Długo wahałam się, ale wczorajszy wieczór rozstrzygnął wszystko. Przekonałam się, że ten człowiek śmie mną pogardzać! Jedno spojrzenie wystarczyło mi do tego odkrycia. Jestem tutaj, niby w jakim domu poprawy. Gdybym nawet mogła załatwić twoją sprawę, nie zniosłabym dłużej tej egzystencji. Cóż mi zostaje? Uciec? To znaczyłoby tyle, co skazać się na nędzę. Czekać, aż umrze? Zapisze majątek tej dziewczynie, którą sprowadził. Zabić się? Dlaczegoż *ja* mam ginąć, nie on? Księża mówią, że samobójstwo jest nawet większym grzechem, niż zabicie kogo innego. Tu można jeszcze uzyskać przebaczenie, rozgrzeszenie — samobójcy nadzieja ta odjęta.

— Ale — rzekł p. Alfred, blady i drżący — jakąż masz pewność, że nic się nie wykryje?

— Obmyśliłam wszystko tak, że nic wykryć się nie może. Zamecki jest cierpiącym, i lekarz jego był świadkiem, że mdlał nieraz do tego stopnia, iż puls bić mu przestawał. Chimerski powiada, że takie zemdlenie, gdyby potrwało kwadrans, sprowadziłoby śmierć niechybnie. Teraz Chimerskiego nie ma, ażeby go cucił. Będzie to rzeczą zupełnie naturalną, jeżeli go nagły przestrach zabije. Czytałam pilnie, jakie są objawy otrucia tym środkiem, który przywiozłeś. Brak oddechu, zawrot głowy, zawracanie oczu w słup, potem ściskanie się serca, kurcz w krtani, nagły głośny krzyk, porażenie, ustanie tętna, i śmierć. Wszystko to jak dwie krople wody podobne do oznak choroby Zameckiego. Wiem, ile potrzeba zażyć tego środka, ażeby śmierć nastąpiła natychmiast, i ażeby pomimo to otrucie było prawie niepodobnem do rozpoznania przy sekcji. Zresztą, oprócz Landesa, który nawet nie wie o istnieniu tej trucizny na świecie, nie będzie tu innego lekarza. Nic się nie wykryje, ani też nie powstanie najmniejsze podejrzenie. Sam Chimerski, gdy się dowie, przypisze ten wypadek lekceważeniu swoich przestróg, które zawsze wyrzuca Zameckiemu. Chodzi więc tylko o zimną krew w wykonaniu. Jestem pewną, że będę ją miała. Przebyłam już w myśli z tysiąc razy wszystkie sceny, które nastąpić muszą. Oswoiłam się z niemi. Przebyłam wszystkie skrupuły, i odepchnęłam je, wiem, dlaczego. Przebyłam trwogę, która mię owładnęła, gdy po raz pierwszy myśl tę powziąłam. Teraz nie czuję jej ani śladu, zwłaszcza jeżeli przebiegnę myślą cały mój plan i przekonam się, jak się wszystko dobrze ułożyło. Obecnie już tylko twoją jest rzeczą wykonać dokładnie to, co ci poleciłam. O czemże dumasz znowu?

— Myślę, czy odór lub smak tej trucizny nie zwróci na siebie uwagi Zameckiego. To mogłoby zwichnąć cały twój plan, i na wszelki wypadek byłoby lepiej, gdybyś korzystając z jego nieobecności, wzięła teraz z jego ogniotrwałej kasy te pieniądze, które są potrzebne dla Dornbuscha.

— Zawsze ten sam! Mówiłam ci już, że

ego nigdy nie zrobię. Zresztą Zamecki wie z pewnością dobrze, ile ma pieniędzy w domu, a klucze od kas nosi przy sobie. Co się tyczy twojej obawy, to cyankalium ma w istocie silny odór gorzkich migdałów, ale ta śliwowica, którą pijacie przy czarnej kawie, ma także odór podobny. Zresztą pomyślałam i o tem. Odebrałam dziś rano mydło z pod dozoru klucznicy, pod pozorem, że wydaje go za wiele. Jutro rano każę myć werandę, i przez pomyłkę, dam słudze mydło toaletowe, bardzo mocno naperfumowane. Będzie tam więc z góry tyle odoru gorzkich migdałów, że nikt nie spostrzeże, czy go jest trochę mniej, czy więcej. Ale zostaw mię teraz, i idź odszukać Wandę, a staraj się być panem siebie. Zamecki będzie się mnie pytał, czy dałeś odpowiedź na jego propozycję. Powiem mu, że jedziesz jutro wieczór do miasta, dla skończenia interesu z kasą oszczędności. Idź!

P. Alfred wyszedł i przebywszy kilka pokojów próżnych, odszukał kogoś ze służby i spytał, gdzie są panny? Obydwie były w ogrodzie, ale nie razem. Niedaleko werandy, p. Alfred spostrzegł Helenkę, która siedziała na ławeczce z książką w ręku, i spojrzawszy na niego, odwróciła oczy z dziwnym wyrazem obawy i wstrętu. Nie uważał na to i poszedł dalej, szukając Wandy. Helenka wpatrzyła się znowu w swoją książkę, od pół godziny otwartą na tej samej stronicy. Ale nie siedziała ona od pół godziny na tem samem miejscu. Po odjeździe pana Tadeusza, po kilku próbach zawiązania rozmowy z Wandą, które okazały się niezbyt fortunnemi, wyszła do ogrodu i znalazła zaciszny kącik w altanie, otoczonej gęstemi i wysokiemi krzakami jaśminu, opodal od narożnej baszty zamkowej. Tu siadła i dumała na przemian o tem, że Wacław mógł przyjść, a nie przyszedł z księdzem proboszczem, i o swoich trwogach i domysłach strasznych. Znużona przytem była bezsennością, i marzenia te niemiłe trapiły ją na pół mżącą. Nagle przywołały ją do przytomności słowa, bardzo wyraźnie, i z akcentem zdziwienia i niespodzianki wypowiedziane. Słowa te były: „Zamecki umrze na udar sercowy!“ Zdawało jej się, że były wypowiedziane w powietrzu, i w pierwszej chwili przypuszczała, że słyszała je we śnie. Powoli wszakże zaczęła sobie zdawać sprawę z intonacji głosu i akcentu, i usłyszała zamykanie okna w tej stronie, zkąd wyszły słowa. Szukając w swojej pamięci, przypomniała sobie, że był to głos Zgorzelskiego, o którym wiedziała, że konferuje z panią Zamecką. Przypomniała sobie także, że słowa były wygłoszone tonem, jakim się zwykle powtarza niespodzianą jaką nowinę. Były one tedy powtórzeniem tego, co mówił przedtem ktoś drugi, a tym drugim była prawdopodobnie pani Zamecka. Znaczenie słów dosłyszanych przypadkiem, łączyło się tak naturalnie z kombinacjami, które były treścią listu Helenki do pani Skryptowiczowej, że przybył jej nowy powód niepokoju. Nie mogła dłużej wytrzymać w altance, i odeszła dalej, jedną z bocznych, cienistych alei francuskiego ogrodu. Tu spotkała Kseńkę, która wracała w tryumfie od ogrodnika, z całym garniturem kwiatów uproszonych do ubrania głowy. Helenka pochwaliła kwiaty, przyjęła wdzięcznie jeden z nich, włożyła go we włosy, i spytała służącą nawiasem o okno w narożnej baszcie, które widać było z tego miejsca, i które jedno w całym zamku, mimo gorąca, było zamknięte. Dowiedziała się, że to okno od pokoju, w którym „pani hrabina pisze.“ Teraz już nie było żadnej wątpliwości. Słowa, które doszły do uszu Helenki, były częścią rozmowy p. Zgorzelskiego z panią Zamecką.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez
JULJUSZA VERNE
przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

Rozdział XIX.

(Ciąg dalszy.)

(Wspomnienia ojczyste. — Widoki na przyszłość. — Projekt zwidzenia wybrzeży wyspy. — Wyjazd 16. kwietnia. — Widok od morza na półwysep Wężowy. — Pokłady bazaltowe na wybrzeżach zachodnich. — Burza. — Noc. — Nowa żegluga.)

Dwa lata upłynęło! i już od dwóch lat osadnicy nasi wyłączeni byli od wszelkiej styczności z ludźmi! Nie mieli żadnych wieści ze świata cywilizowanego i żyli na tej odludnej wyspie zapomnieni, jakby na jakim poślednim planecie świata słonecznego!

Co się przez ten czas działo w ich ojczyźnie? Zawsze mieli przed oczyma obraz rodzinnego kraju, rozdartego wojną domową, w chwili gdy go porzucali, a może i dotąd jeszcze broczącego w potokach krwi, którą wylało powstanie Południowców. Bolało ich to niezmiernie i nieraz o tem rozprawiali, nie wątpiąc jednak nigdy, że sprawa Północy w końcu odniesie tryumf na chwałę Stanów Zjednoczonych.

W ciągu tych dwóch lat ani jeden okręt nie pojawił się w pobliżu wyspy, nie dostrzeżono przynajmniej żadnego żagla. Widocznie wyspa Lincolna leżała zdala od dróg, których się trzymają okręty, co więcej była całkiem nieznaną — czego zresztą dowodziły mapy jeograficzne — gdyż w braku nawet portu, źródłowiska wody słodkiej, jakie posiadała, powinne były w przeciwnym razie ciągnąć okręty potrzebujące odświeżyć swe zapasy wody. Lecz otaczające ich morze było zupełnie puste, jak daleko wzrok sięgał, i osadnicy w urzeczywistnieniu swej nadziei powrotu do ojczyzny nie mogli liczyć na nikogo, prócz siebie samych.

Był jednak jeszcze jeden środek ratunku, i właśnie o nim rozprawiali osadnicy jednego z pierwszych dni kwietnia, zgromadziwszy się w wielkiej sali Pałacu Granitowego.

Była właśnie mowa o Ameryce, o kraju rodzinnym, którego tak mało mieli nadziei ujrzyć raz jeszcze.

— Jeden, jedyny sposób na pewne, jaki nam zostanie do wydobycia się z wyspy Lincolna, mówił Gedeon Spilett, będzie zbudować okręt tak duży, aby mógł wytrzymać kilkuset milową podróż na morzu. Zdaje mi się, że skoro się potrafiło zrobić szalupę, potrafi się zrobić i okręt!

— I że skoro dopłynęło się do wyspy Tabor, dopłynie się i do wysp Pomotuańskich! dorzucił Harbert.

— Nie powiem że nie, odparł Pencroff, który we wszystkich kwestjach marynarskich miał zawsze głos przeważny,—nie powiem że nie, chociaż to nie jest bynajmniej to samo, popłynąć blisko, a popłynąć daleko! Gdy nieprzyjazne wichry zagrażały naszej szalupie podczas podróży do wyspy Tabor, wiedzieliśmy o tem, że z jednej i z drugiej strony niedaleko był port, ale tysiąc dwieście mil upłynąć, to kawał drogi nie lada, a najbliższy ląd leży w tej odległości!

— A czy w takim razie, Pencroffie, nie odważyłbyś się na podobny hazard? zapytał korespondent.

— Odważę się na wszystko, na co tylko zechcecie, panie Spilett, odparł marynarz, pan wiesz że jestem jednym z tych ludzi, którzy przed niczem się nie cofną!

— Niezapomnijmy zresztą i o tem, że mamy teraz jednego marynarza więcej, zauważył Nab.

— A to jakiego? zapytał Pencroff.

— Ayrtona.

— To prawda, odparł Harbert.

— Jeżeli zechce pojechać z nami! zauważył Pencroff.

— Dobryś! czy sądzisz że, gdyby jach lorda Glenarvan przybił był do wyspy Tabor, podczas gdy Ayrton jeszcze się na niej znajdował, że byłby się wzbraniał jechać?

— Zapominacie, przyjaciele, rzekł na to Cyrus Smith, że Ayrton w ostatnich latach swojego tam pobytu, pozbawiony był całkiem rozumu. Lecz nie oto idzie. Idzie tu raczej oto, czy pomiędzy inne okoliczności, które mogą prawdopodobnem uczynić nasze ocalenie, mamy zaliczyć także i powrót okrętu szkockiego. Otóż lord Glenarvan przyobiecał Ayrtonowi powrócić po niego, skoro osądzi, że już dostatecznie odpokutował za swe zbrodnie, a ja wierzę że powróci.

— A ja dodam, że powróci niebawem, rzekł korespondent; — wszak już dwanaście lat Ayrton pokutuje!

— Zgadzam się z wami na to, że lord powróci, i to wkrótce, odparł Pencroff. Lecz w takim razie dokąd się uda? Na wyspę Tabor, a nie na wyspę Lincolna.

— A to tem pewniej, że wyspy Lincolna nie ma nawet na mapie, odparł Harbert.

— Dlatego też, rzekł inżynier, musimy przedsięwziąć stosowne środki, ażeby o naszym i Ayrtona pobycie na wyspie Lincolna, pozostawić jakiś znak na wyspie Tabor.

— Oczywiście, odparł korespondent, i nic łatwiejszego jak w owej chacie, którą zamieszkiwali kapitan Grant a później Ayrton, zostawić wskazówkę o położeniu jeograficznem naszej wyspy, wskazówkę, którą lord Glenarvan i jego ludzie odnajdą niezawodnie.

— Złość mnie bierze, odezwał się marynarz, żeśmy zapomnieli to uczynić podczas naszej pierwszej podróży do wyspy Tabor.

— A dlaczegożeśmy to mieli wtedy uczynić? odparł Harbert. Wszak nie znaliśmy jeszcze wówczas historji Ayrtona; nie wiedzieliśmy o tem, że kiedyś po niego przypłyną, a gdyśmy się dowiedzieli, pora roku była już zbyt spóźnioną, byśmy mogli byli powrócić na wyspę Tabor.

— Tak jest, odparł Cyrus Smith, była już późna jesień, trzeba więc tę podróż odłożyć do przyszłej wiosny.

— A gdyby jach szkocki przybył tymczasem? zapytał Pencroff.

— Bardzo o tem wątpię, odparł inżynier, lord Glenarvan bowiem nie obierałby właśnie pory zimowej, aby się puszczaś na tak dalekie morza. Albo więc wrócił już na wyspę Tabor przez ten czas, kiedy Ayrton jest z nami, to jest w ciągu tych pięciu miesięcy, i odpłynął, albo przybędzie dopiero później, i dość będzie czasu pierwszych pogodnych dni października udać się

na wyspę Tabor, i tam zostawić wiadomość o sobie.

— Trzeba przyznać, rzekł Nab, że byłoby to wielce fatalną rzeczą, gdyby *Duncan* dopiero kilka miesięcy temu pojawił się był w tych stronach!

— Mam nadzieję, że tak nie było, odparł Cyrus Smith, i że niebo nie pozbawiło nas tego najdzielniejszego środka wybawienia, jaki nam pozostał!

— Sądzę, rzekł korespondent, że na wszelki wypadek za powrotem naszym na wyspę Tabor, będziemy wiedzieli, czego się trzymać, jeśli bowiem Szkoci już tam byli, to niezawodnie musieli zostawić ślady swojego pobytu.

— To rzecz jasna, odparł inżynier. Ponieważ więc, przyjaciele, pozostał nam jeszcze ten środek wybawienia, czekajmy przeto cierpliwie, a gdyby on nas ominął, wtedy obaczymy co począć dalej.

— W każdym razie, rzekł Pencroff, rozumie się, że czy w ten czy w inny sposób opuścimy wyspę Lincolna, to nie dlatego, aby nam tu źle było!

— Wcale nie, Pencroffie, odparł inżynier, ale dlatego, że jesteśmy tu odłączeni od wszystkiego, co człowiek najbardziej na świecie kochać powinien, od rodziny, przyjaciół, kraju ojczystego!

Powziąwszy to postanowienie, nie było odtąd więcej mowy o budowie okrętu tak dużego, by się można było puszczać nim bądź to na północ, aż do Archipelagu, bądź na zachód, aż do Nowej Zelandji, a zajmywano się zwykłemi robotami, ze względu na zbliżającą się trzecią z rzędu zimę, którą mieli przepędzić w Pałacu Granitowym.

Bądź co bądź postanowiono jednak przed rozpoczęciem się słot zimowych użyć szalupy do objażdżki na około wyspy. Nie zwidzono jeszcze bowiem do tego czasu dokładnie wszystkich wybrzeży, a zwłaszcza mieli osadnicy bardzo niejasne wyobrażenie o wybrzeżach zachodnich i północnych, od ujścia rzeki Wodospadowej aż do przylądku Obu Szczęk, tudzież o wąziutkiej zatoce wżynającej się w niego na kształt szczęki rekina.

Projekt tej wycieczki podał Pencroff, a Cyrus Smith dał na nią zupełne przyzwolenie, sam bowiem chciał poznać całą tę część swego państwa.

Czas był w ówczas zmienny, barometr jednak nie czynił zbyt gwałtownych skoków, można się więc było spodziewać znośnej pogody. Właśnie w pierwszym tygodniu miesiąca kwietnia, po niskiem opadnięciu, zaczął się znów barometr podnosić pszy silnym wietrze zachodnim, który trwał pięć lub sześć dni; stopniowo jednak wskazówka instrumentu podniosła się do wysokości dwudziestu dziewięciu i dziewięć dziesiątych cali (759^{mm}, 45); pora zdawała się sprzyjać.

Dzień wyjazdu naznaczono na 16 kwietnia a *Bonawenturę* stojącego kotwicą w porcie Balonowym, zaopatrzono we wszystkie przybory do dłuższej podróży.

Cyrus Smith uprzedził Ayrtona o zamierzonej wyprawie i zaproponował mu, by wziął w niej udział; lecz ponieważ Ayrton wolał zostać na lądzie, uradzono zatem, ażeby podczas nieobecności towarzyszów zamieszkał w Pałacu Granitowym. Pan Jow miał mu dotrzymywać towarzystwa, czemu on ze swej strony nie miał nic do zarzucenia.

Dnia 16 kwietnia, z rana, osadnicy w towarzystwie Topa wsiedli na okręt. Tęgi wiatr pociągał od strony południowo-zachodniej, i *Bonawentura*, wypłynąwszy z portu Balonowego, musiał lawirować, aby się dostać do przylądku Jaszczurczego. Z owych dziewięćdziesięciu mil, które wyspa liczyła w obwodzie, około dwudziestu przypadało na wybrzeże południowe, od portu aż do przylądku. Ztąd wynikała konieczność, ażeby tych dwadzieścia mil przebyć jak najprędzej, wiatr bowiem był w całej swej sile.

Nie mniej jednak trzeba było całego jednego dnia ażeby dotrzeć do przylądka, statek bowiem, wypływając z portu, miał jeszcze tylko dwie godziny odpływu, przeciwnie zaś sześć godzin przypływu, które niezmiernie utrudniały żeglugę. Noc więc już była zapadła, gdy okrążono przylądek.

Pencroff zaproponował tedy inżynierowi płynąć dalej z średnią chyżością, z dwoma rejami u żagla. Cyrus Smith jednak wolał rzucić kotwicę o kilkadziesiąt sążni od lądu, by módz w dzień raz jeszcze oglądnąć tę część wybrzeża. Uradzono nawet, ponieważ chodziło o szczegółowe zbadanie wybrzeży wyspy, nie płynąć w nocy, i z wieczora zarzucać kotwicę w pobliżu lądu, jeśli tylko stan pogody na to pozwoli.

Noc zatem całą przepędził statek na kotwicy u przylądku. Wiatr ustał razem ze zmierzchem i cisza zupełna panowała w powietrzu. Pasażerowie, z wyjątkiem marynarza, spali może mniej smacznie na pokładzie Bonawentury, niżeli w komnatach Pałacu Granitowego, lecz koniec końców spali wszyscy.

Nazajutrz, dnia 17 kwietnia, Pencroff skoro świt rozwinął żagle, i korzystając umiejętnie z wiatru, przy samych prawie brzegach prowadził statek.

Osadnikom naszym znane już były te wybrzeża lesiste, a tak wspaniałe, przebiegli je bowiem byli zkraju pieszo, mimo to wzbudziły w nich nowy podziw. Podsunęli się do brzegów jak można było najbliżej, zwolniwszy zarazem biegu, by wszystkiemu dokładnie się módz przypatrzeć, bacząc tylko, by nie potrącić o który z pływających tu i ówdzie pniaków. Kilkakrotnie nawet zarzucali kotwicę, i Gedeon Spilett zdejmował fotograficzne widoki tych wspaniałych okolic.

Około południa przybył Bonawentura do ujścia Rzeki Wodospadowej. Na prawym jej brzegu widać było znów drzewa, ale już rzadsze, a trzy mile dalej, tworzyły one już tylko pojedyncze grupy rozrzucone pomiędzy zachodniemi pasmami góry, której nagi grzbiet ciągnął się do samego wybrzeża.

Co za przeciwieństwo między południową a północną częścią tych wybrzeży! O ile ta była lesista i bujną pokryta zielonością, o tyle tamta skalistą i dziką! Rzekłbyś, że to jedno z owych żelaznych pasm ziemi, jak je w niektórych krajach nazywają, a kształty jego konwulsyjnie wykrzywione zdawały świadczyć o tem, że w jednym z odwiecznych okresów geologicznych, w roztopionym jeszcze bazalcie, dokonała się tu rzeczywista krystalizacja. Te piętrzące się jedna nad drugą skały przedstawiały widok straszliwy, który niezawodnie byłby był przeraził osadników, gdyby los wyrzucił ich był w tej części wyspy Lincolna! Ze szczytu góry Franklina nie mogli dostrzedz ponurego obrazu tych wybrzeży, ze zbyt wysoka bowiem patrzyli na nie; lecz od strony morza przedstawiały one widok tak dziwaczny, że równego nie znalazłby może nigdzie na świecie.

Bonawentura płynął wzdłuż tych wybrzeży, w oddaleniu pół mili. Łatwo było rozpoznać, że składały się one z brył rozmaitej wielkości, od dwudziestu do trzystu stóp wysokich, i rozmaitych kształtów, okrągłych jak wieża, czworograniastych jak dzwonnica, piramidalnych jak obelisk, stożkowych jak komin fabryczny. Lodowce mórz północnych w swej wspaniałej grozie nie mogły mieć kształtów dziwaczniejszych! Tu wisiał jakoby most przerzucony z jednej skały na drugą, ówdzie rysowały się potężne łuki niby w nawie kościelnej, których szczytu wzrokiem nie podobna było dosięgnąć; na jednem miejscu wznosiły się olbrzymie pieczary, których sklepienia przedstawiały widok wspaniały, na innem znów jeżył się istny las iglic, wieżyczek i kończyn w takiej liczbie, jakiej żadna katedra gotycka nigdy nie posiadała. Najkapryśniejsze wymysły natury, stokroć dziwaczniejsze i rozmaitsze niżeli wyobraźnia ludzka wytworzyćby zdołała, jednoczyły się tu na tych wspaniałych wybrzeżach, ciągnących się ośm lub dziewięć mil wzdłuż.

Cyrus Smith i towarzysze jego spoglądali na nie z wyrazem zdumienia graniczącego z osłupieniem. Milczeli jednak wszyscy, Top tylko nie troszcząc się o to, co się w około niego działo, poszczekiwał głośno, a szczekaniu jego odpowiadały tysiącznem echem skały bazaltowe. Inżynier zauważył nawet, że szczekanie to było jakieś dziwaczne, jakby podobne do owego nad otworem studni w Pałacu Granitowym, i rzekł:

— Przybij do brzegu.

I Bonawentura przysunął się jak można było najbliżej do skał nadbrzeżnych. Być może, że znajdowała się między niemi jaka jaskinia, którą należało przeszukać? Lecz Cyrus Smith nie dostrzegł żadnej jaskini, ani wklęsłości, któraby służyć mogła za schronienie jakiemukolwiek stworzeniu, fale bowiem morskie płukały same podnóże tych skał. Wkrótce Top przestał szczekać i statek oddalił się znów kilkadziesiąt sążni od brzegów.

W północno-zachodniej części wyspy brzegi zaczęły być znów płaskie i piaszczyste. Tu i ówdzie rosły z rzadka drzewa na moczarowatej nizinie, którą przedtem już poznali byli osadnicy. Gwałtowne przeciwieństwo między tamtą okolicą tak odludną i pustą stanowiła ta, ożywiona mirjadami morskiego ptactwa.

Wieczorem Bonawentura rzucił kotwicę w lekkim załomie, który tworzył w tym miejscu brzeg, na północy wyspy przy samym lądzie, ponieważ morze było tu dość głębokie. Noc upłynęła jako tako, wiatr bowiem zamierał, że się tak wyrazimy, z ostatniem promieniem słońca, i ożywiał się dopiero na nowo z pierwszym brzaskiem dnia.

Ponieważ łatwo było wylądować, więc tego poranka, fachowi myśliwcy osady, to jest Harbert z Gedeonem Spilettem, wyszli na dwugodzinną przechadzkę, z której powrócili z wieńcem dzikich kaczek i bekasów. Top dokazywał cudów, i dzięki jego gorliwości i zręczności, ani jedna sztuka zwierzyny nie przepadła.

O godzinie ósmej z rana Bonawentura rozwinął żagle i pomknął raźnie ku przylądkowi Górnej Szczęki, miał bowiem wiatr z tyłu i to coraz silniejszy.

— Zresztą nie dziwiłbym się wcale, rzekł Pencroff, gdyby się zerwał wicher od zachodu.

Wczoraj słońce zaszło czerwono na widnokręgu, a dziś rano te białe smugi na niebie nie wróżą także nic dobrego.

Te białe smugi, o których wspominał Pencroff, zwane w technicznym języku *cyrohusami*, snują się zwykle na samym szczycie widnokręgu, w wysokości nigdy mniej jak pięciu tysięcy stóp nad poziomem morza. Wyglądają jak leciuchne płatki waty, i zwiastują zwykle wzburzenie żywiołów.

— Rozwińmy więc wszystkie żagle, jakie tylko mamy, i szukajmy schronienia w Zatoce Rekinowej, rzekł Cyrus Smith. Sądzę, że Bonawentura będzie tam bezpieczny.

—Najzupełniej,—odparł Pencroff,—a zresztą wybrzeża północne składają się z samych tylko wydm piaszczystych, wcale nie ciekawych.

— Nie gniewałbym się wcale, dodał inżynier,—gdybym nietylko noc, ale i cały dzień jutrzejszy musiał przepędzić w tej zatoce, która zasługuje na to, by ją starannie oglądnąć.

— Sądzę, że chcąc nie chcąc będziemy do tego muszeni, odparł Pencroff, niebo zaczyna przybierać groźną minę na zachodzie. Widzisz pan jak się chmurami zaciąga!

— Bądź co bądź mamy wiatr pomyślny dla naszej żeglugi do przylądka Obu Szczęk, zauważył korespondent.

— Wyśmienity wiatr, odparł marynarz; lecz aby wjechać do zatoki, trzeba będzie lawirować, wolałbym więc w biały dzień płynąć po tych wodach, których zupełnie nie znam!

—Wody te muszą być napełnione rafami, dodał Harbert,—sądząc potem, cośmy widzieli u południowych brzegów Zatoki Rekinowej.

— Pencroffie, rzekł nato Cyrus Smith, rób, jak potrafisz najlepiej, spuszczamy się na ciebie zupełnie.

— Bądź pan spokojnym, panie Cyrusie, odparł marynarz, nie będę się narażał bez potrzeby! Wolałbym, żeby mi kto wepchnął nóż w moje własne żywe ciało, jak żeby rafa jaka przedziurawiła żywe ciało mojego Bonawentury!

Pod „żywem ciałem“ rozumiał tu Pencroff zanurzoną w wodzie spodnią część okrętu, o którą dbał więcej, jak o własną skórę!

— Która godzina? zapytał Pencroff.

— Dziesiąta, odpał Gedeon Spilett.

— A jak daleko, panie Cyrusie, ztąd do przylądku?

— Około piętnastu mil, odparł inżynier.

— Potrzeba więc półtrzecia godziny, rzekł marynarz;—między południem a godziną pierwszą staniemy naprzeciw przylądka. Na nieszczęście przypływ o tej godzinie ustanie a zacznie się odpływ. Obawiam się zatem, że będzie bardzo trudno dopłynąć do zatoki, mając wiatr i morze przeciwko sobie.

— Tem bardziej że mamy dziś pełnię, dodał Harbert, a te przypływy i odpływy kwietniowe bywają bardzo silne.

— A nie mógłbyś, Pencroffie, zarzucić kotwicę na rogu przylądku? zapytał Cyrus Smith.

— Co? zarzucić kotwicę przy samym lądzie, mając w perspektywie burzę! zawołał marynarz. Co pan myślisz, panie Cyrusie? Toby znaczyło dobrowolnie wystawiać statek na niechybne rozbicie!

— Więc cóż myślicie począć?

— Będę się starał wytrwać na pełnem morzu aż do nadejścia przypływu, to jest do godziny siódmej z wieczora, a jeśli będzie jeszcze trochę widno, sprobuję wpłynąć do zatoki; gdyby się zaś nie udało, w takim razie będziemy krążyć całą noc na jednem miejscu, i jutro ze wschodem słońca wejdziemy do zatoki.

— Powiedziałem ci już raz, Pencroffie, że się zupełnie na ciebie spuszczamy, odparł Cyrus Smith.

— Ba! gdyby istniała latarnia morska na tych wybrzeżach, toby wygodniej było żeglarzom! rzekł Pencroff.

— W samej rzeczy, odparł Harbert, ale tym razem nie będzie już łaskawego inżyniera, który by nam zapalił ogień i pokazał drogę do portu!

— Aha, dobrze żeśmy sobie przypomnieli, kochany Cyrusie, rzekł Gedeon Spilett, nie podziękowaliśmy ci nawet za to. Na serjo, gdyby nie twój ogień, nie bylibyśmy nigdy zdołali dobić.

— Jaki ogień?... zapytał Cyrus Smith, mocno zdumiony słowami korespondenta.

— To znaczy, panie Cyrusie, odparł Pencroff, żeśmy byli w wielkim kłopocie na Bonawenturze ostatnich kilka godzin przed naszym powrotem, i że bylibyśmy pewnie minęli wyspę, gdyby panu nie było przyszło do głowy zapalić ów ogień w nocy z 19 na 20 października, na płaskowyżu Pałacu Granitowego.

— Tak, tak!... To była szczęśliwa myśl! odparł inżynier.

— Ale tym razem, dorzucił marynarz, nie będzie nikogo, ktoby nam oddał tę małą przysługę, chybaby Ayrton wpadł na ten pomysł!

— Tak! nikogo nie będzie! odparł Cyrus Smith.

A w kilka minut później, inżynier znalazłszy się sam na sam z korespondentem na przodzie okrętu szepnął mu do ucha:

— Słuchaj przyjacielu, jeśli jest coś pewnego na świecie, to to, że ani mi się śniło zapalić jaki ogień owej nocy z 19 na 20 października, ani na płaskowyżu Pałacu Granitowego, ani na jakimkolwiek innym punkcie wyspy!

(C. d. n.)

POGADANKI.

III.

Nie miło to być pierwszym zwiastunem złej nowiny, ale obowiązek dziennikarski nakazuje mi niestety donieść szanownym i pięknym czytelniczkom, co je czeka. Nie mniej i nie więcej, jak tylko radykalna zmiana mody, i to jaka! Możnaby raczej powiedzieć, że jest to zamach stanu na modę, zniesienie jej lub zasystowanie, jak np. systowane bywają konstytucje w niektórych państwach. Proszę słuchać i mdleć z przerażenia. Przedewszystkiem ustają wielkie szynjony, pukle, itp. Nosi się tylko własne włosy, i wszelki kontraband w tejże mierze będzie *mauvais genre*. Na te włosy wkłada się latem prawdziwy kapelusz, zupełnie na wzór męzkiego, a zimą, czapkę z daszkiem. Na miejsce dzisiejszych fałdów, tunik camargo, tren, staników itp. wstępuje szata krojem sutany księżej, sięgająca do kostek, w lecie płócienkowa, w zimie sukienna, na galę czarna jedwabna. Do kompletu należą buciki z szerokiemi, czworograniastemi nosami, i szerszemi od przyszwy podeszwami, jakie noszą mężczyźni — dalej rękawiczki, parasol, i nic więcej. Kolczyki kolje, branselety, broszki, wszystko to można sprzedać lub kazać przetopić, bo nikt tego nie będzie nosił. Wysokie korki będą patentem na śmieszność, a bielidła nie będzie nawet w handlu, bo używanie tego środka stanie w opinji publicznej na równi z fałszowaniem banknotów, albo podpisów na wekslach. Oprócz tego zaprowadzony będzie ten zwyczaj, że w każdym domu, w bawialnym pokoju, wisieć będą za szkłem i w ramkach: bilans majątku, budżet przychodów i rozchodów, jakoteż metryki urodzenia i ślubu, i świadectwa szkolne członków rodziny. Zresztą wszystko zostanie, jak było dotychczas, ale nie wiem, czy to kogo pocieszy. Na szczęście wszakże wszystkie te zmiany zajdą tylko — na księżycu, gdzie zbliżanie się ich obserwowali astronomowie dnia 10 bm, gdy satelita ten nasz najbliżej przysunął się do ziemi i zawiał nam wszystkie drogi, sprawiwszy rewolucję w powietrzu. U nas i nadal tedy cena jednej toalety damskiej równać się będzie wartości sześciu gospodarstw włościańskich, kapelusze i nadal będą od tego, aby nie nakrywały głowy, a trzewiki, aby w nich chodzić nie można. Fałszowanie cery i wyrywanie własnych włosów ciężarem przyprawianych, pozostanie równie obowiązkowem jak stały niedobór w kieszeni, a umniejszanie sobie lat będzie tak powszechnie przyjętem, jak niedouczenie się niczego.

Kiedyś wszakże słowa powyższe stwierdzą się, jak przepowiednia. Zbytek i kosztowność strojów damskich, i niedorzeczność mód, wzrastają z dniem każdym i dójdą raz przecież do punktu kulminacyjnego, po za którym nastąpić musi reakcja. Przyjdzie może do tego, że jak dzisiaj mężczyźni zapomnieli o jedwabnych, papuzich np. frakach, harbejtlach, kamizelkach z galonami i cieńkich pończoszkach, tak i panie będą się dziwiły portretom swoich babek, cudacko poprzystrajanych. Obecnie już tyranja mody, a jeszcze więcej tyranja zbytku, stała się wprost nieznośną. Trudno przewidzieć, co to będzie na balach publicznych, skoro zapewniają, że na wieczorkach prywatnych i w towarzystwach zamkniętych, np. w kasynie miejskiem, pojawiają się coraz kosztowniejsze stroje. Kasyno było dawniej ucieczką dla tych wszystkich, którzy chcieli zabawić się i potańczyć tak, ażeby później nie czuć wyrzutów sumienia — w pugilaresie. Wykwintne balowe toalety rugują precz tę swobodę, i jeżeli tak dalej pójdzie, wieczorki w kasynie chybią zupełnie swego celu. Już dzisiaj bardzo wiele rodzin polskich przystąpiło i przystępuje do niemieckiej „Eufrozyny“ (*Frohsinn*) gdzie można bawić się bez kosztów i bez sztywnej etykiety. Jest to charakterystycznem, że Niemcy umieją lepiej bawić się od nas, chociaż różnica ta nie jest wcale uzasadnioną usposobieniem narodowem. Owszem, my mamy więcej wrodzonej wesołości, żywości i ruchliwości od Niemców. Arystokracja np. i lud, zwłaszcza mazurski, bawią się u nas swobodniej, niż w Niemczech. Tylko stan średni nie umie tego. Pochodzi to może z natury żywiołów, z których powstał i powstaje. W Niemczech wytwarza on się z dołu, indywidua z ludu, pracą, oszczędnością i wykształceniem wznoszą się nad dawniejszy swój poziom, i wchodzą w koła, gdzie każdy bywa chętnie przyjętym i nikt na nikogo krzywo nie patrzy. U nas zdarza się to rzadko, a jeżeli się zdarzy, to nikomu nie zapomną jego pochodzenia. Stan średni rekrutuje się przeważnie ze zbankrutowanej arystokracji, i z tego, co się za arystokrację uważa. Jest to rekrutacja przymusowa, a trudno ażeby rekrut był tak ocho-

czym jak ochotnik. Ciągle mu jeszcze w głowie pretensje do czegoś „lepszego,“ nie może zapomnieć ciotce, że miała wioskę, ale mu jej nie zapisała, lub wspomina ze smętem, że dziad jego miał przerażająco bierny ekstrakt tabularny. Rodzice jeszcze czynili wysilenia, ażeby się utrzymać w stanie „obywatelskim.“ (*Gazeta Lwowska* dzisiaj jeszcze właścicieli dóbr tabularnych i dzierżawców nazywa „obywatelami,“ a innych śmiertelników poprostu notarjuszami, kupcami, urzędnikami, fabrykantami, lub „prywatnymi.“) Usiłowania te były bezowocnemi, okazało się koniecznem przystać na mieszczańską „kondycję“ i przystało się na nią z kwaśną miną, ale nie bez tego, by się od czasu do czasu nie chciało pokazać, bodaj na kredyt, że w familji bywało dużo jedwabiu, koronek, i innych cnót „obywatelskich.“ Tak złożone towarzystwo ma w sobie wiele żywiołów kwaśnych i sztywnych, a kto się już lepiej obył ze swoim ex-obywatelskim stanem, ten ucieka między Niemców, i ci wkrótce sami w swojem kółku będą w mniejszości. Nie ma obawy, ażeby zniemczyli naszych, a natomiast rozpowszechnią zwyczaj bawienia się w codziennych sukienkach i codziennych tużurkach, który w wyłącznie naszem towarzystwie utrzymać się nie może, bo jak mówiłem, ciocia miała wioskę, dziadzio miał długi w tabuli, a mama za młodu tańczyła raz na balu u księstwa Kantymirskich, i dla tego córka musi mieć na sobie najmniej kwartalny nasz dochód, przerobiony na długi ogon, po którymby można deptać do woli.

Tyle co do tygodnia społecznego. Tydzień literacki przyniósł tyle nowego, że ramię c. k. urzędowej i nieurzędowej krytyki srodze zaciężyło na komedji p. Bałuckiego p. t. „Pozłacana młodzież“ a natomiast *Chochlik* ocknął się i zaciężył na krytykach bajką o „ośle i słowiku“. Osieł chwali talent i głos słowika, ale radzi mu, ażeby uczył się jeszcze ze dwa lata solfeggiować od „burej kwoczki, co siedzi u nas w kojcu.“ Satyra ostra i trafna, ale co począć z innem ptactwem, którego przecież lata i świegoce tyle, ogrócz słowików? Pod wrażeniem tej bajki *Chochlika*, jeden z naszych wieszczów ludowych napisał następujący wiersz, na temat równie popularny, jak jego melodja:

Siedzi dudek na kościele,
Robi wiersze na wesele;
Co narobi, to drukuje,
I sam pilnie odczytuje.

Siedzi dudek na kościele,
Bardzo czułe śpiewa trele;
Na świat cały lamentuje,
Że piękności nikt nie czuje.

Siedzi dudek, *taj* się *duje*:
„Oj du, dudu, świat się psuje;
Czemu nie jest, jak przed laty,
Niebezwonny, a czubaty?“

Siedzi dudek na kościele,
Koło niego dudków wiele,
Każdy mocno admiruje,
Jak ten „słowik“ wyśpiewuje!

W opisanym tu wypadku, nawet osiołek *Chochlika* zwątpiłby z pewnością o skuteczności nauk „burej kwoczki,“ która oby nam czemprędzej wykształciła jaką fenomenalną primadonnę! Amen.

Jan Lam.

Wystawa projektów konkursowych

na budowę gmachu dla Sejmu i Wydziału krajowego we Lwowie.

Konkursy architektoniczne zaczęły od niejakiego czasu coraz częściej wchodzić w życie. Ta walka międzynarodowa na polu umysłowem jedna dla siebie ogólne uznanie u wykształconej publiczności. To pole popisu szczczególniej dla młodych talentów, daje ono im możność prędkiego wybicia się w górę i pokazania co umieją. Tu nie ma żadnych powag, żadnych uprzedzeń. Sąd ma przed sobą plany bez nazwisk, i nic nawet mimowolnie na nich wpłynąć nie może.

Konkurs lwowski nadspodziewanie się udał. Przysłano 30 projektów, kilka sal w teatrze jest zapełnionych. Tłumy publiczności, szczególniej technicy przyglądają się tej walce o pierwszeństwo. Nie do nas należy specjalne i szczegółowe sprawozdanie z konkursu, przejdziemy tylko przez wszystkie sale zatrzymując się przed projektami zwracającemi na siebie ogólną uwagę.

Spotykamy naprzód garstkę publiczności przed projektem oznaczonym dewizą „Wawel.“ Fasada wytworna, jednolita, robi przyjemne wrażenie. Znać młode siły w artyście — życie tryska ze wszystkich części. Razi trochę i nuży jednostajnością linja górna pozioma: gmach i skrzydła są równej wysokości. W perspektywie wada ta zostanie usuniętą, ponieważ skrzydła są znacznie w tył posunięte i front ma także kilka części wystających. Układ planu bardzo szczęśliwy. W zamian za podjazd dwie duże bramy kryte połączone z Westybulem za pomocą korytarzy. Komunikacje bardzo wygodne, co jest ważne w budynkach dykasterjalnych. Korytarze bardzo liczne i oprócz jednego od ulicy Kościuszki dobrze oświetlone.

Idźmy dalej. „Unja.“ Układ planu dobrze obmyślany, światła dosyć, wyjąwszy w Westybulu i na poczcie. Komunikacje łatwe i wygodne; wejście i podjazd dobrze obmyślane, w ogóle znać znajomość rzeczy i stosunków tutejszych. Front od ulicy Kościuszki za często łamany i z dziwnym układem okien, które nawet w jednym występie nie są od siebie równo oddalone. Fasada jest dość obojętna, z wyjątkiem parteru, który jest poważnie i ładnie rozwiązany; znać, że kompozytor starał się o ile można zbliżyć do sumy przeznaczonej na budowę. Dekoracje wewnętrzne nie ładne, schody bardzo okazałe.

Idąc dalej zatrzymujemy się przed „Galicją.“ Jest to plan najwięcej zwracający uwagę i otrzymujący uznanie ogólne. Wypracowany nadzwyczaj sumiennie, starannie i z wielkim smakiem. Rozwiązanie niektórych trudności w planie śmiałe i mistrzowskie. Układ bardzo dobry, wszystko się ślicznie koncentruje około sali sejmowej. Światła dosyć, za wiele tylko oświetlenia z góry; wobec naszych zasp zimowych jest to rzecz niebezpieczna. Fasada imponująca w stylu klasycznym z odcieniem renesansowym. Przykre tylko i ciężkie wrażenie robią ośmiokątne narożniki, których usunięcie wcale by nie zaszkodziło. Dekoracje wewnętrzne, szczególniej schody z wielką znajomością perspektywy traktowane. W ogóle jest to projekt pierwszorzędny, szkoda tylko, że za drogi na naszą kieszeń!

„Italia“. Fasada w stylu florenckim, ładna szczególniej od ulicy Kościuszki. Rażą bramy szerokie, prostokątne, odbijające nieprzyjemnie od okien parterowych. W układzie planu jest wiele wad, znać pośpiech ogromny. Korytarze nadto ciemne.

„Nil de nobis sine nobis“. Fasada wytworna imponująca i z wielkim talentem skomponowana w stylu włoskim renesansowym. Rozwiązanie architektoniczne dwóch bram bocznych pokrytych kopułami jest prześliczne.

Wewnątrz znać znakomitego, wielkim smakiem obdarzonego dekoratora. Szkicowanie i malowanie perspektywy prześliczne. Zupełnie co innego z rozkładem, który ma tę ogromną i usuwającą plan wadę, że wielka część lokalności, nawet sale rysunkowe są oświetlone z korytarzy. Oprócz tego plan ten czynią niemożliwym ogromne koszta, bo wynoszące do kilku miljonów!

„Na usługi kraju.“ Fasada robi przyjemne i jednolite wrażenie — projektowana z talentem. Zarzucićby można styl nieczysty i trochę za ciężkie narożniki w środkowym ryzalicie. Dekoracje wewnętrzne przepyszne, szczególnie foyer w stylu florenckim. W układzie są niektóre błędy organiczne np. ciemne korytarze, brak światła w ogóle, i nie zupełnie dogodne komunikacje.

„Spes.“ Fasada z wielkim talentem pomyślana. Uderza w oczy sposób traktowania przedmiotu, niektóre motywa i sposób szkicowania zupełnie takie, jak w projekcie oznaczonym dewizą „Nil de nobis sine nobis.“ Ma w układzie tę wielką wadę, że pożycza światła u sąsiada. Szkicowanie i malowanie projektu wyborne.

„Per ardua ad astra.“ Układ wewnętrzny prześliczny. Ściany po większej części proste, cały plan jest jasny i bardzo łatwo się w nim zorjentować. Komunikacje między podwórzami znakomite. Światła bardzo wiele. Szkoda tylko, że fasada nie odpowiada rozkładowi, nie ma wcale charakteru gmachu sejmowego, daleko prędzej możnaby w nim szkołę umieścić. Część środkowa nieproporcjonalna, z brzydkiemi oknami jakby przylepiona. Bramy ładne, ale zanadto biją w oczy. Wejścia frontowe rażąco wąskie.

Jest jeszcze wiele innych projektów mniej wypracowanych, lub z powodu niezastosowania się do programu odpadających od konkursu, lecz nie będziemy się nad niemi dłużej zatrzymywali, bo znużyłoby to niespecjalistów. Konstatujemy jeden fakt ogólny, że wszystkie prawie projekty wymagają znacznie większych kosztów, i Sejm będzie musiał zapewne wydać więcej. Na to zaprawdę nie powinni żałować!!

TEATR.

„Pozłacana młodzież“ komedja w 4 aktach Michała Bałuckiego.

Trudno oznaczyć, z jakiego kruszcu ukuty jest ten najnowszy utwór p. Bałuckiego p. t. „Pozłacana młodzież“, zdaje się że z tego samego, co jego tytuł — to jednak pewna że.... ze wszystkich przedstawionych dotychczas we Lwowie sztuk p. Michała Bałuckiego, najnowsza ta jego komedja przedstawiona po raz pierwszy dnia 8 bm. najmniej korzystnego, tak ze strony publiczności, jak i ze strony krytyki, doznała przyjęcia. Wprawdzie zawarta w niej satyra przeciwko naszej t. z. klasie średniej, która, nie mając poczucia własnej godności, skoro tylko dorobi się majątku, zwykle w drugiem pokoleniu pnie się już do klasy arystokratycznej, przez którą wówczas często bywa po prostu tylko wyzyskiwaną, a zawsze pomiataną — satyra ta choć nie tak wyraźnie lecz przebijająca także w niektórych poprzednich utworach powieściowych i dramatycznych p. Bałuckiego, jest ze wszech miar słuszną, trafną i zbawienną, i jej to wyłącznie należały się owe chociaż skąpo użyczane oklaski publiczności. Lecz cóż pomoże najlepsza myśl niefortunnie wypowiedziana? A to właśnie powiedzieć można o niniejszej komedji. Przedewszystkiem nie znał autor, jak się zdaje, świata, który w swym utworze zamierzył przedstawić; malował go więc, jak to mówią „na pamięć“, a rezultat w takim razie łatwy do przewidzenia. Przeprowadzenie samej intrygi odznacza się zbyt prymitywną... prostotą, i zbyt naiwnem nieprawdopodobieństwem. Nie wspominając już o innych rzeczach, czy podobna przypuścić, ażeby osoba tak rozumna i tak taktowna, jaką autor przedstawia hrabinę Idę (p. Nowakowska), mogła w Arturze (p. Kwieciński,) który nie jest wreszcie kompletnym idjotą, zrodzić nadzieję posuniętą aż do zuchwałej pewności, że rozwiedzie się z mężem, ażeby pójść za niego? Ażeby to było prawdopodobnem, musiałaby hrabina być inną. A wreszcie gdzież istnieje taki idjota, jak Artur, któryby pierwszemu lepszemu Luniowi (p. Fiszer), uwierzył odrazu na słowo, że hrabina dla niego chce się rozwodzić, nie przekonawszy się wprzódy, lub nie usiłując przynajmniej samemu przekonać się o tem?... Mimo to, że akcja ciągnięta i wleczona za włosy ciągnie się niezgrabnie przez całe cztery akty, nie wzbudzając zajęcia, nie podobna odmówić autorowi rutyny dramatycznej; przeciwnie znać jej tu więcej, niżeli w poprzednich utworach, ale rutyna nie zastąpi nigdy owej misternej delikatności i zręcznej *finessy* (że się tak wyrazimy) w sposobie traktowania przedmiotu, jakich dziś już wymaga publiczność od utworów dramatycznych, wyostrzywszy swój smak na utworach francuskich i polskich takich jak np. Kaźmierza Zalewskiego. Sztuka pisania utworów dramatycznych

wydoskonaliła się dziś tak, jak wszystkie inne sztuki, i autor, który chce mieć powodzenie u dzisiejszej publiczności, musi posiadać tę zręczność i zmysł artystyczny. Myśl sztuki nie wypowiada się już dziś przez usta moralizujących aktorów, lecz powinna ona wynikać ze zręcznie usnutej i z tą intencją przeprowadzonej akcji, gdyż podobnie jak w życiu tak i na scenie nie powinien nikt morału wysnuwać z tego co ludzie gadają, lecz z tego co robią... Do tego niestety nie doszedł jeszcze p. Bałucki ani w tym, ani w żadnym z poprzednich swoich utworów. Z przykrością wydajemy tak bezwzględnie ujemny sąd o najnowszym utworze p. Bałuckiego; ale jak tu nie boleć, że autor tak uzdolniony, zamiast postępować, cofa się, bo niepodobna nam zataić, że utwor niniejszy słabszym jest o wiele od najwcześniejszych utworów p. Bałuckiego. Postacie jego, nie czerpane wprost z życia, tem samem są nieprawdziwe; niektóre bezbarwne, a inne przesadne i karykaturalne. Nawet główna postać Służkowskiego (p. Dobrzański) (chociaż w tego rodzaju postaciach p. Bałucki dotychczas celował) nie posiada tej prawdy życiowej, co np. bohater „Radców pana Radcy.“ Najudatniejszą jest może ciocia Hortenzja (p. Aszpergerowa) chociaż ta jest tylko odmiennem nieco powtórzeniem jednej z figur jednego z poprzedniejszych utworów p. B. Stary Jakób natomiast jest najprawdziwszą ze wszystkich figur tego utworu, i dobrze odegranym był przez p. Zamojskiego. W ogóle gra artystów podtrzymywała utwor i zyskała mu jaki taki *succès d'estime*, w czem największą zasługę przypisać należy pp. Fiszerowi, Dobrzańskiemu i p. Aszperger.

A—ry.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Klin Klinem. Nowella J. I. Kraszewskiego. Warszawa — Emil Skiwski — 1876.

W niniejszej książce odpowiedział autor żądaniom nowellystyki wszechstronnie. Poprzestał bowiem w opowiadaniu na dokładniejszem skreśleniu dwóch charakterystycznych postaci: pani Seweryny Fanteckiej, żony — kokiety, wabiącej teatralną pozą i drobną rączką bogatych i modnych kawalerów — i młokosa Bernarda, syna dumnej i arystokratycznych manier p. Marszałkowej. Dla kaprysu postanawia Seweryna rozwieść się z mężem — katem (tak go nazywa przed przyjaciółką swoją Balbiną) i połączyć się ze złotowłosym Bernasiem, który ją raz ujrzał i zaraz pokochał zapałem studenckim. — Pani Marszałkowa jak mieczem Damoklesa przecina ten pajęczy węzeł miłości, gdyż wydziedzicza syna, któryby ród jej splamił, łącząc się z taką osobą jak Seweryna. To właśnie nie jest Bernasiowi na rękę, albowiem jako majętny jedynaczek liczył na bogate wiano, a Seweryna na sentymenta bez posagu była ohojętną. Dowiedziawszy się o troskach amanta, Bernasia, waży Seweryna w myślach nowe plany małżeńskie i postanawia biednego wygnańca z domu rodzicielskiego zastąpić niejakim Solskim. Człowiek to wprawdzie rubaszny, zbyt sielankowej natury, ale majętny, więc intratniejszy od Bernasia bogatego tylko w sentymenta. Prozorowicz, powiernik p. Marszałkowej, rozmyślny i biegły, łączy powaśnione serca Bernarda i matki, taktownem postępowaniem studzi zapał miłosny w Bernasiu dla Seweryny, i proteguje na małżonka dla niej Solskiego. Bernard chociaż z goryczą opuszcza Sewerynę, połącza się z Anzelmą, dziewczęciem serca, ulubienicą Marszałkowej. — Solski porzuca także Sewerynę nie dając się ułowić na wędkę kłamanej miłości. Seweryna po życiu lekkiem umiera wkrótce na suchoty, zostawiając dziecię, którego losem i wychowaniem zajął się biedny Fantecki. — Treść nowelli niemal codzienna, a jednak umiał autor wlać tyle życia i ciepła, że czytelnik z zajęciem śledzi i wyczekuje końca opowiadania. Charaktery osób chociaż nie wszechstronnie wycieniowane — jak zwykle w nowelli — w toku opowiadania uzupełniają czynności wybitniejszych osób i splatają pojedyncze sytuacje w harmonijną całość.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Szkolnictwo.

— Kilka artykułów kierujących poświęciliśmy w naszem piśmie sprawie języka niemieckiego w naszych szkołach średnich. Odnośnie do artykułu, umieszczonego w nr. 2 „Tygodnia“ z r. b. otrzymaliśmy wiadomość z dobrego źródła, że p. minister Ziemiałkowski będąc także zdania, iż powodem małych postępów naszej młodzieży w języku niemieckim jest brak nauczycieli fachowych tegoż języka, nalegał na systymizowanie „nauczycieli języka niemieckiego“ przy gimnazjach, i u z y s k a ł j u ż p r z y z w o l e n i e k o r o n y na systymizowanie takich nauczycieli.

Literatura i sztuka.

— P. Henryk Schmitt napisał obszerną broszurę, w której krytycznie rozbiera i zbija pomysły historjozoficzne i odkrycia dziejowe, słynnego członka Akademji krakowskiej, p. Antoniego Walewskiego.

— J. I. Kraszewski napisał komedję „Słomiana wdowa,“ która będzie przedstawioną przez amatorów w Warszawie, w teatrzyku Towarzystwa Dobroczynności.

— W Krakowie będzie wychodziło nowe pismo humorystyczne „Harap,“ które postanowiło zajmować się nie tyle polityką, reprezentowaną przez „Szczutka“ i „Djabła“ co rzeczami społecznemi. Nie wątpimy, że takie pismo może liczyć na powodzenie, byle tylko dobrze było redagowane.

— Zygmunt Noskowski, został zamianowany dyrektorem Towarzystwa muzycznego w Konstancji. Miejscowa gazeta wita przy tej sposobności naszego ziomka bardzo sympatycznie. P. Noskowski jest dzielnym fortepjanistą i skrzypkiem, a prócz tego wybornym nauczycielem śpiewu.

— Za kordonem powstają ciągle nowe dzienniki prowincjonalne. Dotąd zaczęły już wychodzić dwa razy na tydzień „Korespondent Płocki“ i trzy razy w tygodniu „Gazeta Lubelska.“

— Wiktor Hugo wyda wkrótce nowy zbiór poezji pt. *Justes colères*.

— Na konkurs dramatyczny warszawski nadesłano dotąd czternaście dzieł, których tytuły są następujące: „Pan Małpiarski“ krotochwila prozą w 3. odsłonach; „Wanda“ tragedja w pięciu aktach wierszem; „Dolorita“ tragedja w pięciu aktach wierszem; „W X. wieku“ tragedja w 5 aktach wierszem; „Wanara“ dramat w 3 aktach wierszem; „Handel i przemysł“ komedja w 3 aktach wierszem; „Po zaręczynach“ komedja w 4 aktach prozą; „On jeden nie śmieszny“ komedja w 5 aktach wierszem; „Koniec Sztuartów“ dramat w 5 aktach prozą; „Focjusz“ tragedja w 5 aktach wierszem; „Lesław z Rożnowa“ dramat w 5 aktach wierszem; „Maryna“ dramat w 5 aktach wierszem; „Zofja z Węgleszyna“ tragedja w 5 aktach wierszem (z prologiem); „Czerkies w Turcji“ tragedja w 5 aktach wierszem (z prologiem).

— Sezon muzykalny tegoroczny będzie bardzo ożywiony. Prócz innych znakomitości artystycznych donoszą nam o przybyciu sławnej pianistki, pani Annetty Essipoff. W Niemczech, Francji, Anglji i Rossji wywoływała ona wszędzie nadzwyczajny entuzjazm. Przeszłej zimy występowała pani E. w czterech koncertach w Warszawie, a dzienniki przepełnione były pochwałami. Najznakomiciej wykonuje pani Essipoff utwory Chopina i Mendelssohna, W Anglji największy entuzjazm wzbudziła koncertem Mendelssohna. Mówiąc o tym koncercie, przypomina nam się koncert, urządzony niedawno na korzyść ubogich techników przez p. Marka w teatrze. Młodziutka uczennica p. Marka, panna Felicja Świtalska, odegrała koncert Mendelssohna z tow. orkiestry tak pięknie, że zachwycona publiczność przyjęła ją jak pierwszorzędną artystkę. Huczne oklaski i wywoływania nie miały końca, damy rzucały bukiety, a orkiestra zawtórowała „tusz.“ Nie dziwiło nas wcale takie przyjęcie, bo niepodobna piękniej odegrać tej wzniosłej kompozycji. Śliczne uderzenie, technika wyrobiona, najsubtelniejsze cieniowania, siła nadzwyczajna, i głębokie pojęcie myśli autora stawiają grę panny S. na wysokości prawdziwego artyzmu. Spodziewamy się wkrótce usłyszeć o jej tryumfach na szerszym horyzoncie. Na tem koncercie występowała także druga uczennica p. Marka, panna Paulina Lachner, która z wielką pewnością i artystycznem wykończeniem odegrała koncert Webera i rapsodję Liszta. Wspominamy na tem miejscu o zaszczytnej działalności p. Marka jako nauczyciela w naszej stolicy, gdyż w pięciu wieczorkach muzykalnych urządzonych w kasynie mieszczańskim, poznaliśmy wiele uczennic jego, między któremi wyszczególniły się panny: Dzbańska i Papée. Wieczorki wspomniane należą, tak ze względu na układ programów i wykonania, jakoteż na liczne zebranie publiczności, do najprzyjemniejszych w tem sezonie.

Podróże, odkrycia i wynalazki.

— Jeden z rossyjskich kapitalistów ofiarował profesorowi Nordenskjöld, znanemu z licznych wypraw do bieguna, 25.000 rubli, aby przedsięwziął nową ekspedycję w świat artystyczny, w celu odkrycia drogi handlowej między zatoką Beringa, a morzem północnem, przytykającem do Rossji. Nordenskjöld oświadczył, że wyruszy w lecie r. 1876.

— Angielski marynarz Akon Joung, uda się na wiosnę do sundu Smitha, w celu zasięgnięcia wiadomości o angielskiej ekspedycji, która w roku ubiegłym wyruszyła w kierunku bieguna.

— Z końcem bieżącego miesiąca, włoskie towarzystwo geograficzne wysyła ekspedycję w głąb Afryki.

— Ruiny starego miasta Etrusków, Targuinii, znajdują się koło Corneto, we włoskiej prowincji Viterbo. W ostatnich czasach odkopano tam bardzo wiele przedmiotów z terracotta, i sarkofag ozdobiony płaskorzeźbami rycerzy i amozonek, który jest prawdziwem arcydziełem sztuki etruskiej.

— Towarzystwo niemieckie, zajmujące się poszukiwaniami w Olimpji, rozporządza oddziałem robotników, liczącem 120 ludzi, którzy są zaopatrzeni w najlepsze narzędzia. Dotąd znaleziono kilka bardzo cennych posągów, lubo uszkodzonych, a między niemi statuę Nike, ofiarowaną przez Messeńczyków. Po wschodniej i zachodniej stronie świątyni Jowisza, znaleziono posągi boga rzek Kladeosa. Zabytki te są tak świetne, że znawcy odnoszą je do złotego wieku Fidjasza.

— Austrjacki jeneral Uchatius wynalazł do swoich dział nowy pocisk, który będzie się rozpadał na 120 części, ważących każda 3 łuty.

Archeologja.

— W Londynie odbyła się niedawno publiczna sprzedaż przez licytację różnych starożytnych po największej części miedzianych monet, która przyniosła razem 81,576 franków. Za penny wybity w Carlisle za panowania Dawida I. króla szkockiego w r. 1230, dano 650 franków, za inny zaś z r. 1250 z czasów Aleksandra III 525 franków. Farthing (najdrobniejsza monata) z tejże epoki, zapłacono 500, za takąż monetę z popiersiem Roberta Bruce, pretendenta, 1,050 franków. Goat, moneta wartości czterech sous z czasów Jakóba II doszedł do ceny 525 franków, a sztuka pół penny do 1,275 franków. Nareszcie za 40 szylingową sztukę złota z 1582 roku dano 2125 franków. Monety te po największej części zakupiło edymburskie muzeum numizmatyczne.

Zjawisko natury.

— Nowozelandzki wulkan Tongarivo, jest od niejakiego czasu bardzo czynny; ze straszliwym hukiem wyrzuca lawę i kamienie, dokoła zaś krateru utworzyło się 50 fontan, które wyrzucają wodę gorącą.

Przemysł.

— W roku bieżącym zostanie otwartą w Kielcach fabryka wyrobów marmurowych. Dokoła miasteczka Chęcin znajdują się pokłady marmuru w różnych kolorach.

ROZMAITOŚCI.

— Anglicy, szukając w sztucznych środkach pobudzających imaginację, lekarstwa na swoje kwaśne usposobienie, w ostatnich czterech latach rzucili się do chloru, „Chlorhydratis,“ tworząc niejako osobny dział, w klasie nałogowych pijaków. Dr. Hulke, przeszedłszy wszystkie stopnie nieszczęśliwego nałogu, i cudem prawie wyrwany z objęć śmierci, opisał w jednym z angiel-

skich dzienników, straszne skutki i cierpienia, będące następstwem tego narkotyku, aby przykładem swoim zatrzymać nad brzegiem przepaści, tych jeszcze, których śmierć nie pochłonęła: „Nie będę drobiazgowo rozbierał — pisze Dr. Hulke — smutnego w swych skutkach narkotyku, powiem tylko, że jest to rodzaj piekącej soli, nader odrażającego smaku. Ażeby skutek chlorhydratu był zawsze jednaki, potrzeba jak z opium postępować, podwyższając ustawicznie dozę. W małej ilości, chlorhydratis działa pobudzająco, i jest używany przeciwko spazmom, w większej dozie działa narkotycznie, a w dużej sprowadza niezwłoczną śmierć. W swych objawach pobudzających, różni się znacznie od opium i alkoholu; nie działa rozweselająco i nie pobudza do działalności, ani cielesnej, ani umysłowej; jedyną jego czynnością jest uwolnienie na czas pewien duszy od wszelkich ziemskich trosk i cierpień, i ukazanie życia rzeczywistego w różanem świetle roskoszy. Ale jednocześnie zapominając o troskach codziennych, dusza staje się apatyczną na objawy serca. Przez parę miesięcy byłem asystentem przy doktorze w mieście Surrey. Doktor, był to jeden z tych ludzi, którzy swoimi asystentami pracują jak najętym koniem, wydobywając z nich ostatek sił za swoje pieniądze. Po niejakim czasie tej ciężkiej pracy, doznawszy jeszcze bolesnej straty, wpadłem w stan takiej bezsenności, że zaledwie nad samym ranem mogłem usnąć na chwilę. W tych okolicznościach przeczytałem w gazecie lekarskiej artykuł zachwalający chlorhydratis jako środek przeciwko bezsenności, który nie pociąga żadnych skutków. Z wykrzykiem radości zażyłem na noc 12 granów zachwalonego narkotyku, i spałem snem aniołów. Po tygodniu chciałem zaprzestać mej dozy, ale sen nie przyszedł i nad ranem połknąłem zwykłą porcję. Z początku nie czułem żadnych skutków, dopiero po dwóch miesiącach dziwne gorąco opanowało wierzch mej głowy, jakby czaszka moja była przepełniona. Nerwy doznały także wstrząśnienia; pracować mogłem tylko systematycznie i spokojnie, a każdy nagły wypadek lub pośpiech, mącił mi zmysły, i kilka razy byłem bliskim popełnienia fatalnych pomyłek. Gdy pewnego dnia sporządziłem miksturę, dając do niej 5 kropel arseniku, przeznaczonych do innego preparatu, rzeczy zaszły tak daleko, że już gorzej być nie mogło. W pół godziny dopiero zmiarkowałem moją pomyłkę, i bez tchu prawie wypadłem na ulicę. Szczęściem chłopiec nie spieszył się z lekarstwami, zastałem go bawiącego się na rogu ulicy; wyrwałem flaszeczkę z koszyka — była nietknięta. Duch wstąpił we mnie, i klnąc własną niedołężność zawróciłem do domu, z postanowieniem wyjechania do Kent na spoczynek. Ciche ustronie wiejskie, uspokoiło moje nerwy tak, że mogłem zmniejszyć dozę chloru. Niedługo jednak trwał ten stan i znowu musiałem uciec się do mego narkotyku. Dla własnego usprawiedliwienia, muszę dodać, żem nie podejrzywał aby ten stan był chlorem spowodowany. Traktowałem słabość moją jako kongestję mózgowe; wiedziałem że umieram powolnie, i chociaż miałem krewnych, wolałem w odosobnieniu pędzić ostatek dni moich, niżeli przyznać się, że znajduję się w stanie niebezpiecznym. Często wśród snu zrywałem się ze strasznem uczuciem nadchodzącej śmierci; czułem całą grozę konania — ręce były zimne i darmo szukałem pulsu, którego bicia nie czułem. Dni były jedną katuszą. Zaledwo sto kroków mogłem przejść bez odpoczynku, a drażliwość mózgu wzrosła do tego stopnia, że trudno mi opisać bolu jaki mi sprawiło wejście na wschody, lub przebycie małej pochyłości. W tym stanie minęły znowu trzy miesiące; czekiwałem końca który musiał być bliski. Na usilne prośby mojej gospodyni odwidziłem jeszcze doktora londyńskiego, specialistę co do chorób serca. Nie wiele miałem nadziei życia, udając się do tego człowieka, ale jeżeli jaka iskra tlała w głębi serca, pozostawiłem ją całą w jego domu. — „Tu jest siedlisko złego — rzekł mi doktor wskazując małą nabrzmiałość po prawej stronie serca — ale to nic nie znaczy. Stan pański zaciekawił mnie, będę pana starannie pielęgnował.“ Podziękowałem mu przez grzeczność, gdyż w słowach czułem jak mówił: Idź do domu umierać mój chłopcze. Wielką będę miał przyjemność w badaniu symptomatów twej choroby. — Znalazłszy się w mym pokoju zacząłem dopiero teraz pojmować okropność mego położenia. Wiedziałem że umrzeć muszę, ale niepewność jaką będzie śmierć sprawiała mi straszne męki. Zazdrościłem losu komunistom, których w tym czasie wieszali w Paryżu. Widziałem że przyjdzie mi umierać powolnie z całą przytomnością umysłu, czując stopniowe stygnięcie serca, i rachując ostatnie uderzenia pulsu. W przyszłe życie nie wierzyłem, straciłem wszelką wiarę w istność Boga i w jego miłosierdzie. Wierzyłem w przypadek i spoglądałem na duszę jak na wymysł poetyckiej wyobraźni. Byłem przekonany, że nie ma nic nad materję, a że materja nie może zginąć, wyrezonowałem więc sobie, że będę żył w powietrzu, ozłocony promieniem słońca, w mgle rannej spadającej na kwiaty, w listku, w źdźble trawy, w kwiecie a może nawet ożyję życiem zwierzęcem... Tu nagle wśród moich ciemnych spekulacyj, wypełzła myśl straszna, że może będę płazem, ropuchą, stonogą... Zimno mnie przeszło... Ale czem jest życie jak nie przemianą? Czem przemiana jeżeli nie ruchem, a ruch wynikłością siły, siła ciepłem w odmiennej formie? W ten sposób męczyłem się dociekając przyszłego mego losu. Nie były to jakby z tego można sądzić, urojenia nieprzytomnego umysłu, lub halucynacje. Owszem, myśli moje były jasne, i w moich dociekaniach abstrakcyjnych, doszedłem do tych samych wniosków, w które popadła nie jedna szkoła filozofów, a mianowicie niemieckich. Powoli, myśl samobójstwa zaczęła wzrastać w umyśle; czułem że przyjdzie chwila której nie zdołam przecierpieć, a gdy jednego dnia lekarz, wezwany przez gospodynię, odwidziwszy mnie rzekł: — „Trzeba było przed miesiącem po mnie posłać, teraz nie pozostaje mu jak kilka godzin życia“ — stanąłem już oko w oko z moim nieprzyjacielem. Zarzucając ręce na szyję psa wiernego, który przez całą chorobę nie opuszczał mnie, wybuchłem serdecznym płaczem żegnając życie... Położywszy się do łóżka zażyłem dozę chloru i schowałem pod poduszkę flaszeczkę z arsenikiem; postanowieniem mojem było wśród ciszy nocnej wychylić truciznę. Była tam i porcja dla mojego psa, który także miał umrzyć, nie mogłem bowiem przenieść myśli, by się z nim kiedyś obca ręka źle obchodziła. Nad ranem obudziłem się, a pies mój siedział przy łóżku głowę oparłszy na mojej poduszce; nie miałem serca zadać mu trucizny, i sam również powtórzyłem dozę chloru. W tem otwarły się drzwi i weszedł do mnie przyjemnej powierzchowności stary jegomość. Chwilę przypatrywał mi się, poczem rozpoczął długi wywód nad Chlorhydratem. —„Chcesz pan mię słuchać, zagadnął skończywszy swoją naukową rozprawę, a w pięć miesięcy będziesz zdrów.“ — Chociaż słowa jego wziąłem za urąganie, przyrzekłem pójść za jego radą. Wtenczas on wyszukał i zniszczył cały mój zapas chloru; flaszeczka z arsenikiem poszła tą samą drogą. Nie mając narkotyku, nie mogłem spać pierwszej nocy, i takiej nigdym jeszcze nie przeszedł i chyba już nie przejdę. Długie godziny leżałem zlany potem, wijąc się, ziewając i kichając. Około serca doznawałem uczucia jakby olbrzymi rak wydzierał mi wnętrzności, i to było może najboleśniejsze. Późniejsze noce były jednem delirium, ale te maligny miały odrębne objawy. I tak pierwszej nocy zdawało mi się, że jakaś niewidzialna siła zadawała mi ciągle pytania, na które wierszem musiałem odpowiadać. Ni słów ni miary nie brakło i jestem pewny, że 12 poetów mógłbym obdarzyć był hojnie wierszami, które przez tę jedną noc utworzyłem. Przykrość jednak jaką mi ten stan rymotwórczy sprawiał, jest trudną do wysłowienia. Następnej nocy zmieniła się znów scena: nie byłem poetą ale podróżnikiem. Z okna mojej kabiny przesuwały się przed mojemi oczyma, wszystkie miejscowości, jakie kiedykolwiek widziałem lub o jakich czytałem. Od śniegów Spitzbergu, do piasków Afryki, kraje jeden po drugim przedstawiały się moim oczom, ze wszystkiemi swemi pięknościami lub grozą, pełne burz, gromów i huku bałwanów. Takich nocy przeszedłem dużo; moje zdrowie wracało bardzo powoli, ale nadzieja ożywiła serce, i wreszcie nadszedł sen a z nim siły. Wtenczas specjaliści egzaminujący mię, zalecali, bym nigdy nie usiłował wejść na żadną większą wysokość, jeżeli chcę uniknąć nagłej śmierci. Wyzdrowiawszy, chciałem przekonać się o prawdzie tego zalecenia, i spróbowałem naprzód wejść na małe wzgórze — nie umarłem. Wszedłem na dzwonicę i spokojnie spoglądałem na ludzi kręcących się u stóp moich; następnie spróbowałem spojrzeć z wysokości wieży St. Pawła w Londynie i nie padłem rażony piorunem. Do tego czasu byłem w Szkocji i z urwistych skał spoglądałem w gniazda orle, poiłem się cudnym widokiem przyrody, błogosławiąc w sercu tego, który mię wyrwał z przepaści. Ale mało danym jest przezwyciężyć tak szczęśliwie skutki okropnej trucizny. Używając opium można żyć dość długo, chlorhydratis w przeciągu najwyżej trzech lat zabija. A jednak mimo żem powrócił do zdrowia, jest cień rzucony na mojem życiu, uczucie ciemnicy grobu jakby przylgnęło do mojej osoby; uchyliłem zasłonę dzielącą życie od odchłani — zbadałem tajemnicę śmierci.“

— Długi czas uważano mieszkańców Patagonji za olbrzymów. Towarzysz Magellana, Pigafetta, poznawszy ich poraz pierwszy w r. 1520, pisze: „Najniższy z tych Patagończyków przechodzi wzrostem najwyższych u nas ludzi.“ Ale już Francis Drake, który w 1578 stał dosyć długo na kotwicy w zatoce St. Juljana, zapewnia, „że nie są wyżsi od wielu Anglików.“ Na to odpowiada żeglarz Schouton, iż na wybrzeżu Patagonji znalazł „szkielety ludzkie długie na 10 do 11 stóp.“ Długo było to kwestją sporną. Wreszcie spostrzeżenia następnych podróżników podały za rzecz pewną, iż jakkolwiek Patagończycy nie są olbrzymami, jednakże należą do najroślejszych okazów rodu ludzkiego. Wzrost 6 — 7 stóp nie jest u nich bynajmniej rzadkością. Że jednak bywali i wyżsi nad 7 stóp ludzie jest rzeczą pewną. W Stanach Zjednoczonych pokazywał się za pieniądze Kentukijczyk, mający pełne ośm stóp wzrostu. Haller, który ze wszystkich pisarzy najwięcej „Olbrzymami“ się zajmował powiada, że maximum wzrostu, do jakiego człowiek dojść może jest stóp 9. Co wyżej, można uważać za przesadzone. A jednak jak się pokazuje, żył niegdyś, przed dwoma wiekami, człowiek wysoki na 11 — 12 stóp, patrząc na swych współ bliźnich, jak na karłów. W starych bowiem szlezwicko holsztyńskich prowincjonalnych wiadomościach znajduje się pod datą r. 1788 wzmianka o zaginionej dziś wyspie Galmsbüll a przy niej następujący dopisek: „W 1749 przy zburzeniu dawnego a zakładaniu fundamentów do nowego kościoła, wykopano trumnę długości niepodobnej prawie do wiary. Gdy ją otwarto, pokazał się w niej szkielet olbrzyma, którego każdy członek miał prawie podwójną długość członków zwyczajnego człowieka. Żyje jeszcze wielu ludzi co byli świadkami tego.“

— Niderlandzki malarz Peutemann postanowił utworzyć malowidło alegoryczne przedstawiające „Śmierć“. W tym celu tedy, chcąc natchnąć się odpowiednio, zakupił pewną ilość szkieletów ludzkich i pozawieszał je u sufitu swojej pracowni. Już narzucił szkic, gdy nagle owładło nim zmęczenie i sam nie wiedział, jak zadrzemał przed sztalugą, w tak osobliwem otoczeniu. Było to wieczorem dnia 18 Września 1692 r. Naraz zdaje mu się, że ziemia pod nim drży, że wszystko w około niego drży, wali się i pęka. Przerażony, budzi się i spostrzega istotnie uginający się i trzeszczący sufit a zawieszone pod nim szkielety w ruchu, jakby żywe. Nie pojmując, że przyczyną tego fenomenu, jest nagłe trzęsienie ziemi, przejęty przesądną trwogą, wybiedz chce z pokoju, a znalazłszy drzwi przez siebie samego zamknięte— o czem zapomniał,—w śmiertelnym przestrachu rzuca się z trzeciego piętra oknem i na miejscu ginie, w 42 roku swego wsławionego już wielce żywota. Pozostały po nim szkic obrazu, który był powodem tak tragicznego wypadku, znajduje się w muzeum Niderlandzkiem w Brukselli — i przejmuje zgrozą pomysłu.

Treść Nr. 3.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).